



1344
NA BŁĘDNYCH DROGACH

POWIEŚĆ W DWÓCH CZĘŚCIACH

PRZEZ

HENRYKA MIERZEŃSKIEGO

143-144



Wikodem Eibrowicz

L W Ó W.

Nakładem autora

1865.

— — — — — błyśnij! —
W tej błyskawicy Panie obaczym się z daleka,
Brat pozna swego brata,
I wejdzie w nieśmiertelność niby anioł w człowieka,
I stanem ludem świata!..

Juliusz Słowacki: Do autora trzech psalmów.



105396

Z drukarni E. Winiarza.

SPIS ROZDZIAŁÓW.

Część pierwsza.

	str.
I. Bez matki	1
II. Chata na piaskach	6
III. Z karczmy	13
IV. Nowe obrazy	17
V. Pierwsze wrażenia	27
VI. Semenکو. — Zagroda starego poberezuika	30
VII. W kilka lat potem	35
VIII. Romansowe strony powieści	43
IX. Pan Bazyli Osiadacz	48
X. Z krwawych dni	54
XI. Dziad z za kordonu	60
XII. Nastusia	64

Część druga.

	str.
I. Pan Bazyli Osiadacz zwiastunem wielkiej nowiny	69
II. Izba gościnną karczmy rudego Wolka	74
III. Znowu romansowe strony powieści	83
IV. Dwór w Nadbużu	88
V. „Najpiękniejsza“	94
VI. Metamorfozy	98
VII. Ludzkie z chaty	110
VIII. Stara Antoszczycha	115
IX. Ważna chwila w życiu naszego bohatera	123
X. Tajemnicze dziewicze serduszka	132
XI. Więzienne mury	137
XII. Zakończenie	142



CZĘŚĆ PIERWSZA.

I.

B e z m a t k i.

Wśród białych kęp piaszczystych, porosłych żółkniętą trawką i bladym kwieciem, czerniał na wpół już rozwalonym i przegniłym od deszczów i śniegów parkanem, niewielki, wiejski cmentarzyk. Okrążył go w kolo szeroki rów wilgotnymi porosły mchami; ciemnozielone liście ożyny pięły się po nich ku spruchniałym belkom starego parkanu, żółty kwiat jaskieru wznosił główki ku słońcu i skrzyp długoszyji wydobywał się z zielono omszonych warstw wilgotnego piasku. Nad grobami cmentarnymi szumiały liście kolczastej sośniny, białe brzozy w żałobie zwisały zielone sploty swych liści, tajemniczym szelestem drżała osika, a między gnijące belki parkanu wciskał się krzaczysty jałowiec...

Mogiłki porastała trawa, zielonisty ślaz i piołun. Gdzieniedzie zawoniała macierzanka, złocił się czarodziej-ski kwiat luby mene, lub zabielały smutno główki polnych lilij..

Kilkanaście skromnych krzyżyków okrywało mogiłki cmentarne. Niejednemu ze starości poczerniało drzewce, i zielony mech wciskał się pomiędzy szpary, mając nadgnite od deszczów ramiona.

Nieopodal parkanu, wśród zielonych krzaków jałowcowych bieląca świeża mogiła. U stóp jej siedziało dziecię najwięcej o dziesięciu do jedenastu latach; jasny i długi włos okrywał małą główkę, z ciemnych, przymglonych oczu spływały łzy, które ono zdawało się malutkimi rączkami wstrzymywać.

Było to dziecię chaty. Uboga, płótniana koszulka okrywała młodziuchne, nierozwinięte jeszcze piersi, czerwona wstążka u szyi pięknie odbijała od przedziwnej błałości rozlanej po smutnej twarzyczce wiejskiego dziewczęcia...

Do zachodu słońca brakowało jeszcze kilku minut. Ostatnie jego promyki złocąc osiadłe belki parkanu wciskały się przez szerokie szpary na zielone mogiłki grobowe. Pięknym był widok cmentarza w tej chwili. W powietrzu było cicho; osiki tylko drżały tajemniczo, a z pobliskiej wioski załatywało szczekanie psów i skrzyp przeciągły żórawi studziennych. Nasza dziewczynka, na wpół siedząc, wpół klęcząc na mogiłce, wsparła rączkę o zapłakaną główkę, a z ust wydobywały się na wpół z płaczem zmieszane słowa, które żal i rozpacz dziecięcego serca niezrozumiałemi czyniły.

Była więc sierotą. W świeżej, z białego piasku usypanej mogiłce spoczywały zwłoki jej matki. Matka ta była dla niej wszystkim, była jej jedyną opiekunką, jedynem szczęściem na ziemi. Z śmiercią matki skończyło się dla biednej sierotki wszystko, coby ją mogło wiązać ze światem.

Przed niewielu laty, w małej, niskiej słomą poszytej chatynce zaświtał pierwszy dzionek dla biednej dziewczyny. Pierwsze słowa, które usłyszała, wypowiedziały usta matki. Słowo to tchnęło miłością wielką, nieskończoną, bo miłością macierzyńską, z którą napróżno kuszą się rywalizować inne uczucia miłosne. Pierwszy pocałunek, złożony na białem czółku dziecięcia, wycisnęły usta matczyne. Dziecina uśmiechała się radośnie, rączką wyciągała przed siebie, wzrok jej słaby spoczywał na licu matki, a pierwsze słowo, które wybełkotały niewyformowane jeszcze usteczka, było:

— Mamo!... —

Nasza sierotka nie miała ojca. Ojciec jej był namiętnym pijakiem. Serce jego, przykute do czarnej namiętności nie znało szlachetniejszych uczuć. Życie nieszczęśliwego pijaka było okropnym, monotonnym obrazem rozzwierzonego życia. To usprawiedliwia nasze powiedzenie: Nasza sierotka nie miała ojca. Wszystko co ją mogło wiązać z życiem, uosobionem było w matce. Z ciepłem, które uleciało z piersi macierzyńskiej, uleciały i marzenia, jakie mogły się tylko roić po młodziuchnej główce wiejskiej dziewczyny. Możnaż się więc dziwić łzom, które płynęły po licu biednej dziecińy...

Łzy te były niewypowiedzianą ulgą młodemu, dziecięcemu jeszcze sercu.

Jej się zdawało, że ta matka, co leżąc na śmiertelnej pościeli zwarła konwulsyjnie usta, by już ich nigdy nie otworzyć, przemówi do niej z za mogiły, jej się zdawało, że sen wieczny zmarłej skończy się rychło; płakała, a łzy utrzymywały ją w tem ciągłym, okropnym zaczarowaniu...

Tak wśród dumań, zawodzeń i płaczu zeszło biednej sierotce kilka godzin. Słońce zaszło i szary zmrok

wieczoru zapadł nad smutną, piaszczystą, poleską okolicą. W około ciemniały lasy. Smukłe rzesze zielonej sośniny zarastała krzaczysta laszczyna, białe brzozy oplatała jemioła, jak gniazda porozrzucawszy pęki gałązek swych po wierzchołkach drzew. W dali ciągnęły się błota, bez których żaden krajobraz poleski obejść się nie może. Szare bagniska i moczary zarastał oczeret; gęsty szuwar tworzył kępy wśród trzęsawisk błotnych, które gubiły się w objęciach ciemnych, sosnowych borów...

Trochę na uboczu wśród porozrzucanych tu i owdzie pagórków piaszczystych rozścieliły się chaty wioski Potoków. Przy drodze prowadzącej przez środek siola rozsiadły się drewniane ściany ubogiej cerkiewki. Dzwonnicę ocieniały brzozy. Nieopodał, wśród gęstej zieleni drzew białe mury dworskie.

Cały ten obrazek sielski, z widokiem wioski na północ, z cmentarzem rozłożonym na piaskach, z pobliską sośninką, miał tyle w sobie uroku, tyle piękna, lecz tego piękna, które poczuć tylko może serce prawdziwie nasze, rodzime, przywiązane do ojczystej skiby, i nie okopcone brudami wielkiego świata!...

Wszystkie prawie nasze krajobrazki poleskie mają z sobą nadzwyczaj wiele pokrewieństwa. Obwiewa je niewysłowiony jakiś urok, coś cichego, smutnego, tęsknego, a przecież tak miłego!... Urok ten z prawdziwym wdziękiem i krasą pochwycił Syrokomla, malując widoki poleskich okolic:

Smutny kraju Polesia, znajomyś mi nieco,
Mgliste twoje wspomnienia z młodości mi świecą,
Snują mi się niekiedy, jakby senne mary,
Nieprzemierzone okiem trzęsawisk obszary;

Lasy ciemne i gęste jak gdyby jaskinie,
Rzeka, co między łożą a sitowiem płynie,
Uprzykrzonych owadów družyna skrzydlata,
I zielony motylek, co nad wodą lata,
I ta cisza powietrzna, rzadko przerywana,
Oстрым krzykiem żórawia, klekotem bociana,
Albo pluchaniem czółna po spokojnej fali,
Kiedy rybak z wędzierzem przemknie się w oddali...

Taki to smętny czar owiewał i nasz widoczek poleski.
Na zachodzie nagromadziły się chmurki, przybierając coraz
to bledszą postać. Nad siołem unosiły się dymy kominów,
powietrze ucichło, a z moczar dalekich załatywały gwary
ptaków błotnych...

Na cmentarzu było pusto. Ścieżką ku wiosce szła
nasza sierotka i ocierała fartuszką oczy. Biedne dziecię
pozostało sercem i marzeniami na małym cmentarzu na
piaskach, przy białej mogile zmarłej matuli...

II.

Chata na piaskach.

Chata, do której sierotka nasza zdążała odłączona była cokolwiek od reszty chałup Potockich. Powierzchność jej smutna przypominała wiele tego rodzaju chat na Polesiu. Czarny, z deszczulek złożony i żółtą gliną oblepiony komin wyzierał z skrzywionego dachu, którego słomiane pokrycie, świadcząc o starości, porosło grubo zielonym mchem. Nizkie, czarne ściany zapadły w ziemię, małe okienko z powbijanemi na miejsce potłuczonych szyb deszczulkami wyzierało z przodowej ściany na świat. Niskie, nadzwyczaj wąskie drzwi prowadziły przez wysoki i niezgrabny próg do ciemnej sionki, a ztamtąd do izby mieszkalnej. Tamto weszła młodziutka nasza znajoma z Potockiego cmentarza.

Nieweselszy od całej powierzchowności chałupy widok przedstawiała i owa izdebka. Z wybielonych niegdyś ścian poopadała teraz glina i ściany się popaczyły, osiadły a po-

między szczelinami powały zakładał pracowity pajak swoje sidła, czychając zdradziecko na zdobycz...

Zaraz obok drzwi rozsiadł się ogromny piec, zajmujący obfitością tuszy swojej prawie pół izby. Pod oknem białął stół prosty, sosnowy, w około ławki. W najciemniejszym kącie izby stał tapczan. Nad nim na ścianie wisiały obrazki świętych, obraz Matki Boskiej Poczejowskiej w czerwone ramy ujęty, Jezus Milatyński na krzyżu, itp. a nad obrazami wisiały zeschnięte wianki na N. Pannę Maryę Zieloną kwiatów i ziół...

Na tapczanie, oparta głową ku drzwiom siedziała skulona postać starej garbatej kobiety. Siwy, długi włos wyrywał się z pod czarnej i brudnej chustki niedbale obwiązanej na głowie; małe, głęboko osadzone oczy, o czarnym połysku wyglądały z pod niskiego czoła, usta ścisnęły się jakimś na wpół gniewnym to szyderyczym i tajemniczym wyrazem, którym zdawała się przemawiać i długa, chuda spiczasto zakończona broda. Całą twarz okryły gęste zmarszczki, świadczące o późnych latach siedzącej na tapczanie staruszki. Okrywała ją brudna, odarta wereta, z pod której wyrywał się znacznej wielkości garb na grzbiecie. Z pod niezwiązanej u szyi koszuli widać było wychudłe piersi. Czerwona krajka opasywała przeszarzaną spodnicę.

Była to babunia naszej sierotki.

Coś niemilego, odstręczającego nawet malowało się w całej postaci tej starej, zgarbionej kobiety. „Stara Antoszczycha“, jak ją powszechnie nazywano, znana była w całej okolicy jako sławna czarownica. Dziwa opowiadano o niej. Stara Antoszczycha umiała zamawiać

choroby, znała się na ziołach i kwiatach, których używała nieraz za leki, wróżyła przyszłość z dłoni, warzyła z kwiatu paproci czarowny napój miłośny, słowem stara Antoszczycha była czarownicą w całym tego wyrazu znaczeniu.

Czarownica ma u ludu naszego niejaki, że tak powiem, święte nawet poważanie. Poważanie to wzrasta, im bardziej zamglonemi i nieprzystępnemi dla pojęcia chłopka bywają takie pełne tajemniczego uroku czynności czarownicy. Każda niemal z tych półwieszczek pół lekarek ludowych osłania swą osobę, swe zatrudnienia, a nawet i mieszkanie mgłą pewnej tajemniczości, noszącej na sobie cechę tak jakoś uroczystą, tak poważną, że mimowoli, mimo objaśnień i upominań księży wiara w nadziemską moc i gusła czarownic trwa w ludzie naszym niezachwianie. Zdarzyli się i tacy, co odważywszy się przedrzeć mglistą zasłonę, trzymającą ich w oddali od tajemniczego życia czarownic, zachwiali może cokolwiek w sobie ślepą tą wiarę. Dowód tego widoczny w jednej z kołomyjek ruskich, w której widzimy diabła jadącego z ruską czarownicą:

Jichau did'ko z Kołomyji,
Taj zahubyu luszniu,
Zawernuu sia, wywernuu sia,
Taj w bołoto chlusunu!..

Przyczyną tego nieszczęsnego wypadku miała być czarownica, bo jak nam śpiewa Kołomyjka, zabłocony did'ko, wygramoliwszy się z głębokiej, prawdziwie kołomyjskiej kałuży, woła z gniewem do zastraszonej więdźmy:

A ty z zadu tam sediła,
Czomuś ne zważała,
Jak tia luszniu w zuby chlusunu,
Budesz pamiała!..

Mimo tego wszystkiego jednak wiara w niezbadaną umiejętność czarownic trwa u ludu niezachwianie. Ileż to bowiem corocznie wymiera biednych ludzi, których leczeniem zajmowała się taka czarownica! Ile to niewiast słabych, które bojąc się lekarza, wzywają pomocy głupiej baby, która zamawianiem i grzaną gorzałką z pieprzem, zadaną jako ostateczne *remedium* wyprawiają nieszczęśliwe swoje pacjentki ne łono Abrahama!... Nie przeczę, że znajomość niektórych ziół i kwiatów, które dobrze zastosowane odnoszą należyty skutek, czyni owe lekarki ludowe użytecznymi, ale takich bardzo mało, a najwięcej osłania nieznajomość swoją mgłą uroczystej tajemniczości, która w prostodusznym chłopku znajduje wiele poważania ..

Ale zagadaliśmy się pono zadługo. Wracajmy więc do pierwotnego naszego opowiadania.

Był wieczór. Na kominku pryskały smolaki, i czerwonym, migającym płomykiem oświecały izbę. Na tapczanie siedziała stara Antoszczycha i wsparłszy głowę na długie wychudłe ręce, w zamyśleniu spoglądała na płonące na kominku ognisko. Twarz jej czarna, pomarszczkowana, przeciągnęła się teraz jakimś wyrazem niemiłym, który zmrużył jej oczy i wykrzywił usta do nieprzyjemnego uśmiechu

Czerwone światło padało z kominka na jej twarz starą i pofałdowaną, i łamiąc się w rozlicznych odcieniach czyniło postać tę godną pędzla artysty...

Ciszę przerwało przeciągłe skrzypnięcie drzwi. Na progu ukazała się znajoma nam dziewczynka z cementarza. Twarzyczka jej wybladła zdawała się z widocznym niepokojem spoglądać na siedzącą na tapczanie babunię; oczy

miała czerwone, a na twarzy znać jeszcze było ślady łez, które płynęły na mogiłce matki...

Antoszczycha podniosła się na tapczanie, schmurzyła brwi, i po chwili suchy, przytłumiony i niemilego dźwięku głos ozwał się z szerokich, obwisłych ust:

— Ha!.. jużś raz przecież przyszła ty włóczęgo nocna!.. A gdzieś to tak do ciemniuteńkiej nocki laziła, ha?!..

Nasza dziewczyna zmieszana widocznie nie mogła znaleźć na razie odpowiedzi. Po chwili wyrzekła cicho:

— Byłam na grobie matuli!..

— A bodaj cię połamało z twoim grobem, ty żabo płaksiwa!.. zakrzykła stara i zerwawszy się z tapczanu skoczyła z suchą, wyciągniętą ręką ku dziewczęciu — już trzeci dzień jak matka leży pod ziemią, a tam jej nie trza pewno już ciebie!... —

Wspomnienie zmarłej skrzywiło biednej sierocie twarzyczkę. Łzy — te najwymowniejsze oznaki żalu i niedoli stanęły jej w oczach.

— Nastko!.. wołała czarownica z roziskrzonym wzrokiem — ja ci mówię, daj ty temu płaczowi już raz pokój, a weź się do wieczerzy! Na kominie nie rozpalono, garnki od rana niepoomywałaś, jeno siedzisz a siedzisz jak zakłeta na tym cmentarzu!.. Bodajś!..

I dzikie, niezrozumiałe jakieś przekleństwo wymknęło się z ust rozzłoszczonej babki...

Nasza sierotka w milczeniu otarła fartuszkciem oczy i zaczęła się krzątać około komina. Najpierw rozpalila większy ogień, ponalewała do garnków wodę, poprzystawiała do ognia, a potem wzięła się do omywania naczynia

z obiadu. Wszystko to jednakże nie szło jakoś zręcznie biednej Nastusi. Jej przed oczyma snuła się biała mara matki, jej w uszach dźwięczało słowo, którem umierająca żegnała ją na wieki, jej czołko czuło jeszcze gorący, długi pocałunek, który wycisnęły stygnące usta matki...

Takto, machinalnie omywając garnki utonęło biedne dziecię w smutnem, bolesnem dumaniu. Pierwsze chwile dziecięcego wieku, pierwsze pieszczoty kochanej matuli, słabość jej i śmiertelne łoże, wszystko to stanęło zadumanej Nastusi przed oczyma... Jej się teraz zdawało, że jest na cmentarzu, na białej mogiłce między jałowcami. Z za mogiły słychać było cichy, przytłumiony głos: to matka szeptała jej słowa pieszczoty...

Nastusia wyciągnęła ręce, oczy jej tlały niebiańskim jakimś blaskiem, a usta napół w sennem marzeniu szeptały:

— Mamo moja!.. pokaż mi się z mogiłki, pokaż!.. Jabym tak rada przytulić się do piersi twojej, uściskać nogi twoje!..

Biedna dziewczyna napół w sennem, przecudnem marzeniu wyciągnęła ręce przed siebie... Oczy jej widziały w tej chwili białą, powietrzną marę, z niebiańskim uśmiechem spływającą ku niej. Było to złudzenie...

Równocześnie dźwięk potłuczonych czerepów naczynia, które upuściły ręce rozmarzonej sierotki, rozległ się po izdebce...

Nastusia ocknęła się...

Na tapczanie chrapała stara Antoszczycha. Silny dźwięk tłuczonego się naczynia obudził spiącą.

— Ha!.. wrzasnęła ochryplym głosem — jużś zarobiła niezgrabno!..

I grad silnych razów posypał się po białej główce i szyji biednego dziecięcia.

— Bodajś skonała ty niedołego!.. bodajcię połamało!.. przeklinała stara — niedoczekana twoja godzina!..

Ciche szlochanie Nastusi rozlegało się po izbie. Biedna sierota płakała, a na łzy te roziskrzonem od gniewu okiem spoglądała niedobra babka i okopcony obraz Bożej Rodzicielki z czarnej ściany Prokopowej chaty.

Łzy te były czyste i jasne jak perły.

Po chwili cicho było w chacie. Z za dworu tylko zaleciał przytłumiony szelest, jakby zbliżających się ku chałupie kroków....

III.

Z k a r c z m y.

Drzwi skrzypnęły i do izby wsunęła się powoli wysoka postać barczystego mężczyzny. Na głowie, którą porastały czarne, w nieładzie pomierzwione włosy, siniała niebieska czapka z zielonymi i czerwonymi paskami. Brudna, płótniana koszula wyzierała mu z za szyi; okrywał go na w pół odarty i wyszarzany sierak z siwego sukna. Twarz świeżo przybyłego nie obiecywała po sobie nic szczególniejszego, owszem, znać było na niej ślady brudnej namiętności, które w postaci czerwonej obrzękłości i sinej jakiejś i nienaturalnej cery rozsiadły się na licu.

Był to Prokop Adamczuk, ojciec naszej młodziutkiej znajomej z ementarza Potockiego. Kto chciałby bliżej się przypatrzeć typowi chłopca o zatwardziałych przesądach, którego duszę okryła gruba powłoka ciemnoty, którego serce wrzało nienawiścią ku wszystkiemu, co zajaśniało pięknem, co wywyższyło się choć trochę nad niskie wyo-

brażenia jego — kto zapragnąłby widzieć obraz zakamieniałego na wszelkie piękniejsze uczucia serca, obraz namiętności czarnej, która lata głęboko w duszę wkorzeniły, znalazł by to wszystko dostatecznie w starym Prokopie.

Ojciec naszej sierotki był bardzo nieszczęśliwy. Nałóg pijaństwa wkorzenił się w nim tak głęboko, iż nie było dnia, w którymby stary Prokop nie odwiedził karczmy, i nie było nocy, w którejby powrócił trzeźwy do chaty. A miał nieszczęśliwy ten człowiek tę brzydką naturę, że skoro się tylko upił, wzrastala w nim niepohamowana chętka do bijatyki. Nie było niedzieli, w którejby on nie nabił komu guza, nie wybił oka, nie złamał nogi lub nie zrobił hardego jakiego przeciwnika kaleką na całe życie. Nie lubiono też za to starego Prokopa w całym Zalesiu. Nieszczęśliwy ojciec Nastusi nie baczył na to jednakże wcale. Jego mało to mogło obchodzić: przyjaciół nie miał i nie potrzebował, z znajomymi nie obcował, bo wszyscy od niego stronili, a zresztą i on także nie bardzo do siebie przynęcał. W największej przyjaźni żył z Wolkiem, arendarzem w Potokach, który często okazywał mu dowody wielkiej ku niemu życzliwości, zasłużył więc sobie na to. Dowody te opierały się głównie na borgowaniu mu na niezbyt znaczny procent gorzałki. Stary Adameczuk przesiadywał więc w karczmie dzień i noc, rano spijał kwartę wódki, w południe drugą a przez wieczór czwartą, i tak przy pogadance z dowcipnym Wolkiem, który pomimo, iż był nadzwyczaj rachunkowym, w oczach jednak ojca Nastusi uchodził za najpoczciwszego i najrzetelniejszego człowieka — schodziły mu dnie za dniami... Czasami zawitał gość jaki do karczmy — miał więc już Prokop zabawkę — a gdy czasami, co się częściej trafiało, przemoc obdarzyła go sińcami i guzami,

a czasem i krwawemi razami, pijany jak zwykle Prokop uważał tę rzecz za całkiem naturalną, i poddawszy się z pokorą losowi, wcale nań potem nie sarkał. Takim to był ojciec Nastusi. Po bliższem zcharakteryzowaniu osoby jego, przystępujemy teraz do dalszego opowiadania.

Stara Antoszczycha siedziała na tapczanie, a ujrawszy wchodzącego syna poruszyła się cokolwiek w siedzeniu i szkaradnie przekrzywiła stare, pomarszczone policzki:

— Prokop!.. ozwała się syczącym głosem — i znowu tak późno!..

— Oj!.. dodała wyciągnawszy długi, suchy palec lewej ręki do góry — ja ci powiadam: nie skonasz ty po ludzku, pijaczy synu, jeno jak pies pod ławą u Wolka!..

— Przestańcie lepiej!.. matko!.. zachrypiał Prokop i rzucił błędnem okiem po wszystkich kątach izby — ha!.. niedawności przepili dwadzieścia ewancygierów Smaluczki u Wolka, co?..

— Ot!.. siadłbyś, taj mówił pacierz za duszę Ole-ny!.. pijaku!.. wrzasnęła czarownica z roziskrzonem okiem — czy cię opętało, czy ci stara matka zawadza?..

Ciche, stłumione przekleństwo wydobyło się z ust Prokopa. Spojrzał na obok w kącie siedzącą Nastusię. Serce jego opalone namiętnościami nie znało już miłości ojcowskiej. Po wyrugowaniu wszystkiego, co można było nazwać szlachetnem, osiadły tam brudy i zepsucie.

— Nastko!.. ozwał się z piersi pijaka jakiś zimny, nieojcowski głos — a coś to, już zwarzyła wiecezrę, że siedzisz a dumasz jakbyś spać miała!..

Nastusia ocknęła się z długiej, ciężkiej jakiejś zadumy. Zimny głos ojca jakby lodem owiał biedną sierotę.

Wkrótce kurzyły się przed Prokopem misy wonnego barszczu i kaszy. Biedny pijak zasiadł z rozkoszą do jadła. Zatopiony w połykaniu smacznej kaszy, maczanej w rumianym barszczu, zapomniał o wszystkim. Jego szczęście ukrywało się na dnie kieliszka i misy; nieszczęśliwy ten człowiek nie mógł o niczem więcej myśleć. Stępione władze myślenia nie mogły działać. A uczucie!... Ono oddawna zastępyło już w namiętnej piersi Prokopa.

Na tapczanie chrapała stara Antoszczycha. Po jej głowie snuły się dziwne, gorączkowe obrazy. Śnił się jej sam pan Mefistofil, utworzony z szumów wódki, którą nadsza czarownica podsyciała słabiejące siły.

Szanowny mieszkaniec gorących podziemi był w kapitalnym humorze. Kiwał głową, uśmiechał się, zażywał często tabakę i kichał. Antoszczycha uważała to wszystko za dobry znak i szeptała przez sen zwykle swoje zaklęcia...

Była późna noc. Prokop oblizawszy się po barszczu i kaszy legł na szerokiej ławie. Nie uczynił znaku krzyża świętego i zasnął snem ciężkim. Po głowie snuły mu się bójki karczemne, zielona szumówka i rudy Wolk.

W kącie izdebki spała nasza sierotka. We śnie widziała matulę w białej szacie pomiędzy aniołami. Zbierała ona kwiaty precudnej kraszy i woni, i podawała je Nastusi.

Kwiaty były białe jak śnieg.

Nastusia brała kwiatek po kwiatku od matki, a kolce, co obrastały łodygę, raniły boleśnie drobne rączki sieroty.

Matula uśmiechała się do niej anielsko i serdecznie...

IV.

Nowe obrazy.

Było to starą manierą powieściopisarzy, opisujących dwór i chatę, utworzyć dwa obrazy, wręcz sobie przeciwne. Ma się rozumieć, że w chacie mieszka ubóstwo, niewinność, szlachetność i cnota, we dworze zaś pycha, pankoństwo, itp. Czemu to przypisać? Czy może zbyticznej zapamiętałości powieściopisarzy? Czy... Lecz zamilczmy tą razą. Nie zawsze i nie wszędzie tak bywa, jak panowie powieściopisarze opisywali. zresztą dałby Bóg, ażeby już najmniejszej do tego nie mieli przyczyny.

Przedstawiwszy oczom czytelnika kilka scen z chaty, prowadzimy go do dworu. Dwór w Potokach stał na niewielkiem wzgórzu piaszczystem, otoczony zielonemi świrkami, sośniną i brzoźami. Zdala uderzały wzrok jadącego ku wsi dwie wysokie kolumny, które właściciel dobudował do obu frontowych rogów domu, przerobiwszy z pocziwego szlacheckiego dworku coś na wpół angielskiego, na wpół wło-

skiego, co jednak ani jednym, anie drugim nazwać nie było można. Obszerny ogród otaczał dwór. W całym jednakże urządzeniu jego przebijało się nadzwyczaj wiele owej napuszystości i nienaturalności starej, która cechowała jeszcze gusta naszych dziadów. Ogród w Potokach mając cokolwiek pretensyi do parku angielskiego, przypominał przytem stare sielanki. Pomiędzy barczystymi bzami bieleła altanka brzozowa z napisem: Jak tu miło marzyć! Dalej prowadziła droga wijąc się pod cieniste lipy. Tu bieleła kilkanaście ławeczek, a nad każdą błyszczał napis: Tu usiądź!... Podumaj! lub Uśnij! to znowu: Świątynia ciszy, spokój! itp. Na gazonach, zasianych sparcetą i innymi trawami, stało kilka kamiennych posągów. Wenera o powabnych kształtach okrywała drobną rączką dorodne piersi, wstydząc się zapewne Apollina, który na uboczu, pod cieniem akacyi wpatrywał się w jej uroczę wdzięki...

Nasz Apollo poleski rodzeniuteńkim był bratem opisanego w Beniowskim, co — —

— — w morzu zostawił koszulę,
I na starosty górze stał bez listka...

Szkoda tylko, że ktoś nadtarł mu trochę nosa, czem nadzwyczaj stracił na powierzchowności. Ale dość tej charakterystyki biednych mieszkańców Olimpijskich, z wielkim ich uszczerbkiem aklimatyzowanych w ogrodzie dworu Potockiego. Idźmy wijącą się ku terasie drożynką. Po kilkadziesiąciu krokach jesteśmy blisko terasy, zastawionej wazonami kwiatów, w niewielkiej altance chmielowej. U góry pomiędzy gęstymi splotami dzikiego chmielu czerniał na białej korze brzozowej wyrżnięty napis: *Solitude!*

W altance przy okrągłym stoliku, zastawionym przyborami do herbaty siedziało towarzystwo z kilku osób złożone. Na małym z prętów uplecionem krzeselku siedział mężczyzna małego wzrostu lecz obfitej tuszy o szerokiej, czerwonej twarzy. Ubrany był w wygodną długą bluzę z szarego płótna. Przed nim grzał się czajnik na małym eleganckim samowarku, obok stała szklanka z herbatą, cukier i fiaszeczka z rumem. Był to gospodarz domu, pan Felix Zarębski. W oczach jego malowało się wewnętrzne zadowolenie i błogi jakiś spokój, który rozlawszy się także po pulchnych i rumianych policzkach p. Felixa, kończył się na tłuściutkim, foremnie zaokrąglonym brzuszku, który lubiał pan Felix z niezwykłą jakąś przyjemnością miękką swą rączką gładzić...

Naprzeciw siedziała żona p. Zarębskiego, pani Modesta. Była to kobieta o przeszło czterdziestu latach. Ślady wieku jednak starała się pani Modesta zatrzeć sztuką. I tak więc róż i blansz grubo okrywały zwiędłe policzki. Włosy w tył zaczesane z fryzurą *à la Cherubin* okrywało czerwone ubranie.

Pani Modesta była jedną z tych kobiet, które preromansowawszy i przebawiwszy prędko młode swoje lata, tęsknią za nimi i gwałtem chcą je sobie wrócić. Była zresztą bardzo poetyczną: mdlała przy jakiejś sposobności, robiła przy młodych ludziach zadumane oczy, mawiała zwykle „mową poetów“ i czytała na zabój Słowackiego; unosiła się nad nim, choć go rozumiała jak...

Lecz nie kończmy porównania.

Czytelnik się domyśla, że całe urządzenie ogrodu wraz z altankami, ławeczkami, napisami i statuami było myślą pani Modesty. Trzeba jednak wiedzieć iż pani Mo-

desta była panią domu w całym tego słowa znaczeniu. Pan Felix był panem domu tylko nominalnie. Pan Felix bowiem nie lubiał nietylko gospodarstwa, ale w ogóle wszystkich zatrudnień, które zmuszały go do myślenia, troszczenia się, słowem, do natężania władz umysłowych, które u pana Felixa błogi znajdowały spokój. Pan Felix sypiał do dziewiątej zrana, obudziwszy się pił herbatę, potem palił papierosy do obiadu. Po obiedzie znowu pił ulubioną herbatę, gładził brzusek i palił papierosy do kolacyi. Przy tak więc wielkich a uciążliwych zatrudnieniach trudno było p. Felixowi zajmować się jeszcze domem i gospodarstwem. Pani Modesta zaś nadzwyczaj zadowolona była z tego błogiego trybu życia swego mężulka. Pan Felix miał trzy razy na dzień gorący czajnik z herbatą, flaszeczkę, napełnioną najwyborniejszym rumem z Jamaiki, w puszcze prawdziwie turecki tytoń do papierosów — zresztą pani Felixowa rozkazywała w całym domu, gospodarstwo zdawszy panu Bazylemu Osiadaczowi, który był komisarzem i ekonomem *in una persona* we dworze Potockim.

Obok pani Modesty siedział chłopak do czternastu lat mający. Piękne blond włosy wiły się po małej jego główce, w niebieskich oczkach malowało się życie i sympatyczna naiwność. Był to Kazio, jedyny synek państwa Felixów. Kazio od pierwszych lat dziecięcych rósł pod wpływem wychowania starej francuzicy, pani Larmand, która oprócz powierzchownej znajomości swego ojczystego języka, zresztą szycia, haftowania i robienia doskonałych ciastek do herbaty nie umiała nic więcej. Kazio od czwartego roku paplał jak sroka po francusku, pani Modesta nauczyła go czytać w ojczystym języku, zresztą pan Hasentuch, lekarz z pobliskiego miasteczka, zalecił nie męczyć naukami synka

państwa Felixów przynajmniej do dziewiętnastu lat, ażeby się mógł należycie rozwinąć. Wśród takich okoliczności mi-nęło naszemu Kaziowi dwanaście lat. Wesoły chłopak bu-jał wolno i swobodnie wśród wiejskiego zacisza, wzrastał w ciało i siłę nadzwyczaj prędko i czekał przepisanego przez pana Hasentuch dziewiętnastego roku życia, w któ-rym uszione dotychczas w sobie siły moralne miał rozpo-cząć rozwijać.

Znajdywała się więc w altance chmielowej cała fami-lia państwa Zarębskich. Pani Larmand, stara, brzydka fran-cuzica uzupełniała towarzystwo.

Szanowne gospodarstwo z synkiem zajęte było piciem herbaty, równie i pani Larmand pamiętała o posiłku cielesnym, zapychając się niepraktykowanymi kawałkami szynki, którą dla rychlejszego trawienia popijała czystą herbatą...

— Wyborna szynka!... przerwał ogólną ciszę pan Felix, ocierając serwetą zatłuszciałe policzki — byłbym w stanie całych pięć talerzy takich zkonsumować!...

— *Fi donc!*... przekrzywiła pani Felixowa podno-sząc srebrnym widelcem obfity kawałek salcesonu — jak można być takim smakoszem!... to już za nadto!...

— Ty bo moja duszko za nadto idealizujesz!... przerwał z flegmą szanowny mężulek dolewając do szklanki herbatę ze srebrnego czajniczka.

— Oh ideały, ideały!... zawołała patetycznie pani Modesta i przewróciła melancholijnie oczyma — to moje życie, to moje wszystko!...

— Wy ludzie bez serca, bez czucia!... zwróciła po chwili głos ku panu Felixowi, który schował pulchniutkie policzki wraz z nosem do szklanki — wy nie znacie tego

nieba marzeń, niebiańskich widzeń, ideałów, wyście przywiązani niewolniczo do brudów tego padolu nędzy i płaczu!...

— Oh!.. kończyła z tąż samą patetycznością połykając smaczny kawałek salcesonu — wasze szczęście tylko w zadowoleniu potrzeb cielesnych, w zaspokojeniu pragnienia i głodu!...

— Ależ moja duszko, przerwał z flegmą pan Felix, wystawiając nos z szklanki — któż ci to wszystko zaprzecza!...

— Irytujesz się tylko daremnie, i mnie nie dasz spokojnie wypić herbaty!... — dodał chowając napowrót nos do szklanki.

Na bladej twarzy pani Zarębskiej zaigrał ironiczny uśmiech, w którym nadzwyczaj wiele malowało się politowania i łzawej melancholii.

— Szczęśliwy!... wyszepnęła z niezmienionym wyrazem twarzy, połykając ostatni kawałek salcesonu — szczęśliwy, kogo to może zadowolnić!...

Pan Felix po skończonej piątej szklance herbaty rozparł się wygodnie w drewnianem krzeselczku, odsapnął i zapalił wonne sygareto.

Po chwili do chmielowej altanki przybyła nowa osoba. Był to pan Bazyli Osiadacz, komisarz i ekonom Potockiego dworu.

Pan Bazyli był jednym z tak gęsto po naszej ziemi rozsianej kasty ekonomów o szerokiej twarzy, z długimi, groźnymi wąsami, najeżoną po szlachecku czupryną, z harpnikiem w kieszeni, w butach z smalonemi cholewami, o długich, czerwonych, na wierzch wyciągniętych uszkach. Poznasz każdego z nich z ubrania. Pan Bazyli Osiadacz zacierał często ręce, chociaż mu wcale zimno nie było,

spluwał, i podczas audyencji u pani domu zwykł lewą nogę wysuwać cokolwiek naprzód, dla nadania swojej osobie odpowiedniej godności postawy.

Pani Modesta ujrawszy ekonoma, nastroiła twarz swą do niechętnego uśmiechu, i zapytała z kwaśnem przekrzywieniem ust:

— A czego to panie Osiadacz!...?

— Bagatelka... — odezwał się ekonom zacierając ręce — sierota po Olenie Adamczukowej przyszła i prosi o zapłatę robocizny...

— Ah!... ci ludzie męczą mnie już nie do wytrzymania!.. odrzekła z nieukontentowaniem pani Modesta — nie może sobie przyjść jutro, albo za kilka dni, ale nie gwałtem dzisiaj, i to właśnie przy herbacie!..

Ostatnie dwa słowa „przy herbacie“ wymówiła pani Felixowa z naciskiem i przynależną powagą.

— Pada, że nie mają za co chleba kupić!.. zauważał pan Bazyl oblesnym wzrokiem rzucając na kipiący samowarek i smakującego w herbacie pana Felixa.

— Ach!.. to nie do wytrzymania!.. powtórzyła z westchnieniem pani Felixowa zavrcając oczyma.

— Ot, kołtuny!.. za pozwoleniem wielmożnej pani!.. machnął ręką p. Bazyl.

— I wiele się tam należy?.. zapytała wspaniałomyślnie pani.

— Bagatelka!.. aby no tylko!.. pół dziewięta cwancygiera i dutków trzy!.. za pozwoleniem wielmożnej pani!..

— Masz pan!.. wycodziła pani Modesta wyciągając z torebki pieniądze — a niechże mnie już przestaną nudzić, bo tu na prawdę przyjdzie się rozchorować!

Pan Osiadacz wykręcił się na prawej nodze i na w pół zgięty odebrał pieniądze z rąk „wielmożnej pani“. Jeszcze raz rzucił namiętnym wzrokiem na kipiący na stole samowarek, i już się zwracał ku wychodowi, gdy pani Zarębska, zauważawszy snąć te jego ogniste spojrzenia, rzekła:

— Zaczekaj pan, naleję mu herbatę...

— Łaska Wielmożnej pani!.. wyszeptał oblizując się pan Bazyl i wysunął lewą nogę naprzód...

— Czy z rumem? —

— Arrbata bez haraku, to jakby taniec bez muzyki!.. zarehotał przymawiając się pan Osiadacz i musnął ręką po sumiastym wąsie...

W kilka godzin potem altanka chmielowa opróżniła się z opisanego wyżej towarzystwa. Był wieczór. W tak zwanym pokoju „bawialnym“ kilka świec zapalonych zapowiadało gości. Pani Felixowa siedziała na kanapie obok bogatej właścicielki sąsiedniej wsi, pani X. przybyłej przed godziną z dwoma swymi synowcami. Rozmowa toczyła się różnie.

Zaczęto pogoda; dalej mówiono o sąsiedztwie, bawiono się niewinnemi ploteczkami, wreszcie dyskurs stoczył się na stolicę a potem na sztuki piękne i literaturę.

Mówiono o poezyi.

Pani Modesta wzdychała, zawracała poetycznie oczyma, kładła rękę na sercu i unosiła się nad Słowackim.

— Oh! mój boski Juliusz... — mówiła układając swą figurę do odpowiedniej sytuacji: mój boski Juliusz,

to moja codzienna pieszczota!... Z pieśniami jego na ustach wstaję rano, niemi żyję we dnie i z niemi zasypiam!...

— Bez wątpienia... — potwierdził synowiec pani X. pan Karol — cudne są poczye Słowackiego i nie dziwię się, gdy panią tak zachwycają...

— Oh!... bo jakżeż można go nie kochać!... mówiła dalej z patetycznością pani Modesta — takie cuda, takie cuda!... On nas przenosi w świat drugi, jaśniejszy, nieznaný, gdzie

... z uczuć razem zlanych wstanie anioł biały,
Mniejszy może niż człowiek, atom, środek koła
Rozprysnionych promieni; ale jasny, cały,
I plam ludzkich nie będzie na sercu anioła..
Nieskończoności zmysłem dusza się pomnoży,
Bóg aniołowi oczy na przyszłość otworzy!...

To wydeklamowawszy, pani Modesta przewróciła melancholijnie oczyma, zatrzęsło się spazmatycznie, westchnęła i opadła bezwładnie w krzesło...

Było to poetyczne omdlenie...

Pan Karol, mimo całej piękności, jaka wiała z tych słów wielkiego poety, usłyszawszy je z ust pani Felixowej, omal że nie parsknął głośnym śmiechem...

Tymczasem omdlała deklamatorka przyszedłszy do siebie, rzuciła czułym wzrokiem na obu młodych panów, i jakby z nadzwyczajnem wewnętrznem wzruszeniem wydeklamowała znowu:

Jest chwila gdy się ma księżyc pokazać,
Kiedy się wszystkie słowiki uciszą,
I wszystkie liście bez szelestu wiszą,
I ciszej źródła po murawach dyszą...
O!... takiej chwili!...

Pani Modesta przerwała...

Rumieniec piętnastoletniego dziewczęcia zakwitł na jej wybladłym licu, usta przybrały wstydliwą minkę, a oczy skromnie spuściły się ku ziemi...

— O!... tej chwili nie zapomnę!... zawołała z cichem, wstydliwem uniesieniem — i tej nocy księżycowej, co mi przypomina noc boskiego mego Juliusza „w Szwajcaryi“!..

— Pani więc zabawia się miłemi wspomnieniami młodości!... przemówił zaledwie co dostrzeżonym na twarzy uśmiechem synowiec pani X.

— O tak!... szanowny panie!... nie wierzysz pan jak drogiemi są wspomnienia ubiegłych dni szczęścia :

Szczęśliwy, kto się w ciemnych marzeń zasnuł przedzę,
Kto ma sny, i o chwilach prześnionych pamięta!...

Obaj młodzi panowie uśmiechnęli się na to ironicznie. Ciotunia ich siedziała jakby na tureckiem kazaniu: wzruszała ramionami i powtarzała często cicho;

— Ot!... Boże zmiłuj się!...

I wyglądała czy prędko zakryją stolik świeżym obrusem, aby mieć sposobność wyśmiania na jutrzejszej wizycie u pani aptekarzowej nienajlepszej bułki i sucharków pani Zarębskiej... Pani Modesta poetyzowała do końca wizyty. Pan Felix siedział na wygodnym fotelu, uśmiechał się z zadowoleniem, gładził brzuszek i palił papierosy...

V.

Pierwsze wrażenia.

Wśród takiego otoczenia, pod wpływem idealizującej mamy, głupiej francuzicy i ojca prawie idyoty wzrastał synek państwa Zarębskich, Kazio, którego nie opuścimy już do końca powieści. Czy wpływy te korzystnymi okazywały się w rozwoju młodego umysłu jego, nie potrzebujemy odpowiadać. Kazio miał lat czternaście, był silnej i zdrowej budowy ciała, twarz jego obiecywała zdolności. Oczy jaśniały życiem, czoło wypukłe i otwarte zapowiadało zdrowe władze myślenia. Mimo to jednak było w całej twarzy Kazia coś tak naiwnie dziecięcego, a dziecięcego nad wiek, że mimowoli można się było domyśleć, iż biedny Kazio wzrastając pod wpływem troskliwej opieki macierzyńskiej, nie miał czasu jeszcze rozwinąć w sobie dostatecznie władz umysłowych. Piękne, niebieskie oczy Kazia patrzyły na otaczające go przedmioty wzrokiem ośmioletniego dziecka. Troskliwa, mama pomna przestróg pana Hasentuch, by

synek nie rozwinął swej myśli zawczasie, w czternastym roku życia trzymała dlań francuzicę, która z Chapsala i Nœla uczyła go francuskiego języka; inne zresztą umiejętności leżały dla biednego Kazia odlegiem. Pan Felix nie wtrącał się zupełnie do wychowania swego syna. Jego to mało mogło obchodzić. On był kontent gdy miał swoją herbatę z jamajkowym rumem, tureckie cygaretto, i wolną chwilę do gładzenia pracowitego brzuszka...

Było to w kilka dni po opisanych w powyższym rozdziale zdarzeniach. Kazio trzymając za rękę panią Larmand wyszedł na przechadzkę.

Był to piękny, letni wieczór.

Słońce chowając się za bór sosnowy świeciło przez szczeliny drzew złotym promieniem; na zachodzie czerwieniały gromady rozproszonych chmurek, ścieląc złotą drogę słońku, na spoczynek po całodniowej wędrówce.

Kazio z panią Larmand byli za wsią. W okolo nich złościły się łany zboża. Żyto i pszenica dojrzewały. Szafirowe blawatki wyzierały z gęstych fal zbożowych, gdzieś czerwieńiały maczki i migał się różnobarwny kwiat polnego groszku...

W dali biła przepiórka. Aromatyczna woń zkoszonego siana zalatywała z pobliskich moczar. Las szumiał i stare sosny szeptały wieczorne pacierze, wtórzyły im zielone sploty brzoź i drżąca osika.

Kazio z zachwyceniem wpatrywał się w otaczającą go przyrodę. Zwykle w zamknięciu, pod pieczołowitem okiem matki i starej francuzicy, ograniczony był tylko na ogród dworski, który poetyczna fantazyja pani Modesty dziwacznie skarykaturowała. Dziś od kilku miesięcy po raz pierwszy użył dalszej przechadzki.

Pani Larmand włożyła na nos stare okulary, bo pod wieczór mało co już widziała. Szła powolnym krokiem, zażywała tabakę z czarnej, ogromnej tabakierki, kichała bardzo często i ucierała nos czerwoną chustką.

Kazio z dziecięcą naiwnością wypytywał się co chwili o najdrobniejsze rzeczy. Bawiło go bicie przepiórki, zatrzymywał niebieski bławatek, i rozciekawiały gwary ptaków z pobliskich moczar.

Francuzica kichała na zabój, i na zapytania Kazia odpowiadała milczeniem. Doszli do cmentarza na piaskach. Z furtki cmentarnej wychodziła młoda jasnowłosa dziewczynka na drogę. Nieopodal zbliżał się ku niej młody, najwięcej czternastoletni chłopaczek. Ubrany był w czystą płótnianą świtkę, na głowie miał słomiany kapelusz.

— A zkął to tak, Naściu?... zapytał zbliżywszy się ku dziewczynie.

— Chodziłam na grób matuli, i odmówiłam pacierz za jej duszę!... odpowiedziała znajoma nam sierotka po Olenie Adamczukowej.

— A wy gdzie to tak idziecie Semenku!... zapytała po chwili nieśmiało.

— Ta idę już do chaty, z lasu, bo tato słabują coś dzisiaj trochę!...

— To chodźmyż razem!... ozwała się Nastusia, i oboje zwróciwszy się ku wsi, przeszli ścieżką obok nadchodzącej pani Larmand z Kaziem.

— Ach!... jaka ładna dziewczynka, a jaki chłopaczek!... zawołał uradowany Kazio obracając się za młodziutką parą...

— *Fi done!* Kasio! wrzasnęła guwernantka z gniewem — czyś nie widział durnego chłopa!...

VI.

Semenko. — Zagroda starego pobereźnika.

Drożynką ku siołu szła nasza sierotka z Semenkiem pod rękę. Semenko był synem gajowego. Wracał z leśnej budy do domu, i rad był, że się zdybał z Nastusią. Nastusia miała jedenaście lat, była więc dzieckiem prawie. Semenko znał ją od pierwszego dzieciństwa, niejedną dzień przebawił się z nią w piasku koło cerkwi, nie było też, żeby się i czasem z sobą nie pogniewali, zgoda jednakże następowała jeszcze prędyzej, a po dziecięcych sprzeczkach ustalała się zwykle silniej. Z latami Semenko i Nastusia podrośli, ustały więc zabawy w piasku koło cerkwi i przy opłotkach ogrodowych. Nastusia wyręczała matkę, a gdy ta umarła musiała ją teraz po większej części we wszystkim zastępywać. Gotowała śniadanie, obiad i kolację, zatrudniała się wszystkim około domu, a w wolnych chwilach pracowała na polu lub w ogrodzie. Semenko wyręczał starego ojca. Pracował w polu, chodził około chudoby, uważał



na całe gospodarstwo, a kiedy ojciec czasem mocniej zanie-
mógł, przesiadywał na jego miejscu dnie i noce w budzie
leśnej. Raz lub dwa razy na dzień szedł wtenczas do cha-
ty, na obiad i na wieczerzę, a potem wracał znowu do
lasu...

Tak to młodziuchna nasza para nie mogła się więc
częściej widywać. Czasem zdybała się Nastusia z Semen-
kiem przy studni, czasem przypadkowo gdzieindziej, a za-
wsze radowali się oboje, gdy się gdzie spotkali. Semen-
ko młody lubiał się wpatrywać w czarne oczęta Naści, lubiał
się bawić jasnemi kędziorami pięknych włosów, które okry-
wały jej główkę. A Nastusia także nie stroniła od czar-
niawego Semenka. Oboje czuli do siebie nieprzewyciężony
jakiś pociąg: nie była to jeszcze miłość, lecz czysta tylko
sympatya dwóch serc dziecięcych.

Wśród rozmowy doszli oboje do wrót siola. Semen-
ko spieszył się do chaty, pożegnał więc swoją towarzyszkę i
skierował ścieżkami po za ogrody ku zagrodzie ojca. Na-
stusia także pobiegła do domu.

Semenko wszedł na podwórko chaty starego gajowego;
Była to jedna z najporządniejszych chałup w Potokach.
Dach złocił się świeżo poszytą strzechą, ściany białaly jak
śnieg, okna były obszerniejsze jak zwykle i czysto wymy-
te. Podwórko czysto zamiecione zapowiadało skrzętne go i
pracowitego gospodarza. Koło spichrzyka widać było kilka
pod strzechą poskładanych pługów, dalej stajnie i obora.
W tyle widać było stodołę. Chata ogrodzona była skrzętnie;
przy wrotach stała studzienka z długim, w żelazo okutym
żurawiem. Nad strzechą chaty szumiała stara lipa. Tysiące
kwiatów, rozsianych po tem pocziwem, ojczystem naszym
drzewie rozlewało w okolo precudne wonie; na wierzchołku

pochyłej lipy stał biały buśko na ogromnem gnieździe i głośno klękocząc opowiadał coś swojej samicy...

Tak było w zagrodzie starego Hrehorego.

Semenko przeszedł obszerną sień, w której zastawiona kamieniami maglownica główną odgrywała rolę, i otworzył drzwi od izby, jasnym oświeconej ogniskiem. Była to szeroka, o trzech oknach, czysto zamieciona i wybielona izba. Pod oknem stał długi stół dębowy, około niego ławy. W kącie tapczan, nakryty czystym kilimkiem. Ściany bielone pozawieszane były obrazami świętych.

Za tą izbą była druga, tak zwana „komora“. Tam stały tapczany gospodarza i jego żony, starego Hrehorego i kochanej jego Marty. W kącie widać było obszerną, dębową skrzynię, zawaloną gratami różnego rodzaju. Nad skrzynią wisiała na ścianie stara, dwururna strzelba. Obok niej wisiała pojedyncza, skórzana torba myśliwska, rogowa trąbka i kilka par lisich skórek.

W pierwszej izbie na kominku gotowała się wieczera. Krzątała się około niej żona starego Hrehorego. Hrehory siedział na tapczanie, kurzył lulkę i dumał. Był to piękny staruszek najwięcej około sześćdziesięciu kilku lat mający. Srebrny włos wił mu się po szerokiem zmarszczkami pooranem czole i oczy tlały jeszcze życiem, a cała twarz świadczyła o nieprzerozpustowanych za młodu latach starego Hrehorego...

Sędziwy ojciec Semenka był jednym z najpocziwszych i najlepiej myślących włościan w Potokach. Za młodych lat zapracowawszy sobie niezawisły kawałek chleba, kupił grunt obszerniejszy, odbudował starą chatę, ulepszył gospodarstwo, i ożenił się z czarnobrewą dziewczyną, córką

zamożnego i porządnego gospodarza z sąsiedniej wsi. Bóg mu szczęścił: gospodarstwo się ulepszało, chudoby co roku to więcej dorastało, a w starej skrzyni w komorze przybawało grosza...

W kilka lat po ślubie żona powiła mu syna; niedoczekał go się jednak biedny ojciec: mały Fedorko umarł w piątym roku. Była potem dziewczynka, ale i tę podobało się Najwyższemu zabrać z tego świata; pozostał więc w końcu najmłodszy Semenka, jedynak i podpora starości Hrehorego...

Stary gajowy kochał syna swego bardziej niż siebie. Posyłał go do szkoły, a gdy się nauczył czytać i pisać, wprawiał młodego Semenka do gospodarki. Semenka z wrodzonym do wszystkiego sprytem w dziesiątym roku życia czytał już i pisał biegle, w gospodarstwie wyręczał ojca doskonale, a gdy stary pobereźnik zapadł czasem na nogi, szedł do lasu na nocną wartę...

A las — palenie nocnych ognisk przy budzie, piosnki chłopków pasących konie w zaroślach — wszystko to było nieporównaną z niczem roskoszą dla naszego Semenka!...

Bo czy znacie wy te nasze lasy, posyite zieloną sośniną, zasiane niezliczonym mrowiem drzew, krzewów, zarosli, gdzie smukła sosna pochyła swe ramiona nad małe wzrostem towarzyski, białe, powiewne brzozy, drżące osiki i karłowatą grabinę; gdzie dąb —

. mchami brodaty,
Włożywszy pięć wieków na swój grzbiet garbaty,

duma o ubiegłej młodości, i o starych swych towarzyszach, co popadli już pod cięciami siekiery nielitościwego człowieka?... Słyszeliście ten szum uroczysty, kiedy wiatr porusza wierzchołkami dębów? A to ciche, przytłumione szumienie

kolczastej sośniny, lub głośny, zmieszany rozhovor całego boru?... A znacież las w zimie? Kiedy na korach i wierzchołkach drzew poobwisają zmarznięte warstwy śniegu, co w blasku słonecznym migocą się brylantami, kiedy cały las okryty świetlanymi platomi śniegu wygląda jak biały jakiś, puchowy labirynt?... A kiedy ztają śniegi, i wody spłyną w kotlinki, z za mchu żółkłego wydobywają się trawki, ślasy, paprocie; drzewa odżywają, brzoza okrywa się zielonem pączkowiec, sośnina wypuszcza świeże kolce, i tylko dąb poważny oczekuje cieplejszego nieba... Z nadchodzącem latem rozbudza się życie lasu w całej pełni. Drzewa potrzęsają rozwiniętymi z pączków liśćmi, dąb rozzielenił się cały, zioła kwitną, a cudna woń konwalii i macierzanki rozchodzi się po lesie... Wtenczas ptactwo zaczyna swoje rozhowory: kukułka odzywa się z wierzchołka brzozy, słowik w ciemnej gęstwinie, a mniejsze spiewaki po gałęziach drzew ukryte spiewają niezamordowanie do zachodu słońca. W nocy cisza w lesie. Miesiąc zagląda pomiędzy liście, drzewa się uciszają, i tylko paproć tajemnicza rozkwita... Takie jest życie w naszych borach, i takim był las w Potokach, wśród którego pierwsze lata młodości spędził nasz Semenکو. Las ten był jednym z najsilniejszych wpływów na terażniejsze usposobienie jego. Ciągła, a przynajmniej najczęstsza samotność, dumania i długie obcowanie z tem cudnem życiem rodzinnej przyrody naszej, wyrobiły w Semenku charakter piękny, czysty, choć może trochę wrażliwy i uie łatwo otwierający się na zewnątrz.

VII.

W kilka lat potem.

W jednym z pokoiów Potockiego dworu, na wygodnym fotelu safianowym siedział dwudziestoletni pan Kazimierz. Kilka lat zmieniło go zupełnie; cała postać jego zmężniała, twarz nabrała wyrazu męskiego, a czarny, piękny wąsik zasiał się nad wydatnymi ustami.

Pan Kazimierz w tak młodym wieku kierował już gospodarstwem. Pan Felix bowiem przed dwoma laty jeszcze umarł, z zbytniego picia herbaty ulubionej rażony apoplexją. W rok po śmierci męża, pani Modesta oplakawszy nieboszczyka, zakochała się szalenie w jakimś przejeżdżającym artyście, a gdy ten nie myślał dzielić gorących uczuć czterdziestokilkoletniej wdówki, pani Modesta uczuła to do tego stopnia, iż w kilka tygodni potem dostawszy silnej palpitacji serca pożegnała na wieki ten świat niewdzięczny...

Tak więc pan Kazimierz w dziewiętnastym roku życia swego pozostał sam. Pomimo, iż był wychowywanym do siedemnastu lat dziecinnie, pod wpływem kierownictwa głupiej guwernantki — nie przestraszył się jednak obecnem swoim położeniem. Śmierć ojca nie zmartwiła go wcale. Prawie tak samo uczuł stratę matki. Było to skutkiem wychowania. Pan Kazimierz nie znał uczucia miłości rodzicielskiej od pierwszych dni dziecięcego wieku: zawsze owiewało go zimno lodowe wyrachowanych na efekt uczuć matki — ze strony zaś ojca znajdował zimną tylko obojętność. Nieszczęśliwy pan Felix nie mógł kochać nawet syna swego — był on już więcej jak idjota, stworzeniem bez myśli i uczucia. Bóg łaskę nieszczęśliwemu zrobił, że go zabrał z tego świata.

Więc pan Kazimierz nie wielce się umartwił śmiercią swoich rodziców. Przywdział „dla świata“ czarne suknie, kapelusz obwiązał czarną krepą, i zajął się z podwójną usilnością zaniechanem za życia państwa Felixów gospodarstwem.

Pan Kazimierz zresztą był „dobrym“ chłopcem. Mówię „dobrym“, wyrażenie howiem to używane bywa w razach, gdy chcemy powiedzieć o kimś, iż „jest Bogu duszę winien“.

Pan Kazimierz był więc „dobrym“ chłopcem. I tej to dobroci serca zawdzięczał może, iż zgubne, zgniło-arystokratyczne zasady, wszczepiane przez matkę i guwernantkę w młodą jego duszę, nie zakorzeniły się tam głębiej, i przez późniejsze obcowanie z lepiej myślącymi ludźmi, ustąpiły ztamtąd w części.

Złe pokierowane wychowanie jednak wyrobiło w nim nienajsilniejszy charakter. Syn państwa Felixów grywał

niezłe preferansa, jeździł doskonale konno, był miłośnikiem towarzystw, i nie lubiał nikomu oponować. Zresztą było to cechą jego charakteru, iż nie był zarozumiałym, mimo iż mało co wiedział, i tylko do rozmów o polowaniach, psach i sygarach się miewał.

Pan Kazimierz siedział dziś na fotelu wygodnym w kancelarji swojej i czyścił zgrabną szczoteczką paznogie prawej ręki.

Jeżeliś domyślny, a przytem i dowcipny, szanowny mój czytelniku — o czem nie chciałbym wątpić — powiedz mi, o czem można myśleć przy takim zatrudnieniu jak np. czyszczenie paznogi?...

Czy może o czémś, podnoszącem ducha, uszlachetniającem serce ludzkie?...

— Nie!... odpowiesz mi stanowczo.

A więc zapewne o jakiej spekulacji? o nowych ulepszeniach w gospodarstwie?... a może o kłopotach właścicieli ziemskich?...

— I to także niekoniecznie! — będzie twoja odpowiedź w tym razie.

Więc zapewne o różnobarwnych migdałkach!.. domyśle się w końcu i wywołam na twarz twoją uśmiech zadowolenia.

Tak jest. Pan Kazimierz myślał o różnobarwnych migdałkach. Migdałki te ukazywały mu się pod postacią rumianych twarzyczek, ciemnych oczek, koralowych usteczek i zgrabnych nóżek, migały się przed oczyma przyobleczone w najpowabniejsze kształty i wdzięki czarodziejskie!..

Pan Kazimierz był więc teraz na rozdrożu. W dwudziestym roku życia, gdy się uczuł niezawisłym panem swej

woli, zaczął wolniej myśleć. Do niedawna bowiem jeszcze myślał dziecinnie. Teraz ujrzał się swobodnym.

Pan Kazimierz nie miał żadnego prawie wykształcenia. Nawet zamiłowanie nabywania nauk było w nim uspio-
ne. Nie dziwota więc, iż myśli jego bujały wolno, bez wędzidła, a wyobraźnia stawiała mu przed oczyma obrazy, jakie miała pod ręką.

Wśród takich to rozmyślań młodego właściciela Potockiego dworu, drzwi pokoju się otwały, a przez nie wsunęła się na palcach mała figurka znanego już czytelnikom z poprzednich rozdziałów pana Bazylego Osiadacza.

Woń anyżu rozlała się po pokoju. Pan Bazyli wysuwał lewą nogę naprzód, muskał z zapalem wąsy i uśmiechał się tajemniczo.

— A co tam mi pan powie!.. zapytał ujrzawszy ekonoma pan Kazimierz.

— Sługa wielmożnego pana!... ukłonił się uniżenie pan Osiadacz i posunął lewą nogę w tył.

— Przyszedłem prosić łaski pańskiej do wypłaty!... — wydusił po chwili szeroko rozdziawiwszy gębę.

— A ileż tam będzie ludzi?... —

— A sporo... chwalić Pana Boga!... Jest młocków dwadzieścia, i szesnaście dziewcząt!.. zakończył mlaśnięciem języka.

Pan Kazimierz podniósł się z fotelu. Po chwili wyszedł z workiem miedziaków na ganek, a za nim z należytą powagą pokrząkując pan Bazyli.

Przed gankiem stała gromadka wieśniaków. Byli tam starzy ludzie, około siedmdziesięciu lat, z podkrywanymi

głowami, nieufnie jakoś i nienajprzyjaźniej patrząc do środka domostwa, rychło wyjdzie z zapłatą „pan“ lub ekonom.

Na uboczu stali młodszy; żonaci w milczeniu, parobcy szepcząc i chichocząc między sobą. Za nimi skupiło się kilkanaście dziewcząt wiejskich. Byli to ludzie z Potoków.

Pan Kazimierz z ekonomem wyszli na ganek. Pan Bazyli kiwnął głową z powagą, musnął po strzępiastych wąsach i schowawszy ręce w kieszenie swego zielonego surduta, wyglądał nieprzymierzając jak lord angielski na posiedzeniu ministerjalnem.

— Chodit siuda lude!... ozwał się po chwili barytonowym głosem.

Gromadka stojącej przed gankiem starszyny zbliżyła się.

— Mykita Chweśkin, za try dni... liczył pan ekonom wydobywając z worka pieniądze — Ostapczuk desiat dutkiw za deń, Hryćko za tyżdeń — wyliczał dalej wszystkich za porządkiem, a pan Kazimierz zapisywał przy małym, naumyślnie na to przygotowanym stoliczku.

Po chwili mężczyźni byli już za bramą. Następowwały dziewczęta.

— No!... Maryśka, Xeńka!... na pered!... huknął gromkim głosem pan Osiadacz na chowające się jedna za drugę dziewczęta, i zerknął z pod oka na pana Kazimierza.

Podczas wyłaty nie obeszło się bez żartów. Pan Bazyli był jowialny, lubił dowcipkować, a przy okazji zwykł czasem i zaśmiać się do czarnobrewej doni, albo

poskubał ją z upodobaniem w rumianą twarzyczkę. Była to oznaka najlepszego serca. Płeć piękna była bowiem słabą stroną zacnego pana Osiadacza.

— Już to co jak co!... — mawiał nieraz szanowny ekonom w poufnym kółku — ale z babami to już nie umiem wojować!... Co to, to ani rusz!... Niechaj ino która szelma zagada, zaśmieje się, wyszczerzy ząbki, a by no tylko, taj już po mnie!... Już to, co mam dobre serce, to mam. Padam wam: na masło się rozleje!...

A że to, co mawiał poczciwy pan Osiadacz było szczerą prawdą, nie potrzebujemy dowodzić.

Z pomiędzy gromadki dziewcząt najczęstsze spojrzenia młodego panicza padały na piękną, młodziuchną twarzyczkę o czarnych oczkach i jak len jasnych włosach.

Była to znajoma nam Nastusia, córka starego Prokopa. Biedne dziewczę pod ognistemi spojrzeniami młodego panicza bladło to rumieniło się; pan Kazimierz z widocznem upodobaniem rzucał na nią znaczącym wzrokiem, a pan Osiadacz stojąc z tyłu uśmiechał się tajemniczo i nie bez znaczenia mlaskał językiem.

Po chwili z widocznem nieukontentowaniem młodego dziedzica Potockiego dworu, dziewczęta odchodziły z zapłatą za bramę dziedzińca. Pan Kazimierz stał na ganku, podkręcał pięknego wąsika, i uśmiechał się jak widać do swoich myśli — gdy dowcipny pan Bazyli korzystając ze sposobności cmoknął z gustem ustami i zawołał:

— Fajs dziweczka!... pysiuńcio jak pszeniczka podolska, a zwinna szelma, nieprzymierzając jakby wiewióreczka!...

Pan Kazimierz uśmiechnął się z widocznym upodobaniem na powyższe opisywania zacnego pana Bazylego, a przed oczyma mignęła mu biała jak „pszeniczka podolska“ twarzyczka o czarnych, skrzących się oczkach i złotych jak len włosach...

— Taki kąsek to nie bagatelka!... mruknął pan Osiadacz znowu i zerknął z podełba na pana Kazimierza.

Pan Kazimierz nie miał jakoś na to wszystko stosownej odpowiedzi na podoręczu. Popatrzył na ekonoma i mimowolnie uśmiechnął się.

— Hu'... hu!... hu!... zahuczał rubasznym śmiechem pan Bazyli — a co?.. padam że nie bagatelka!...

Pan Kazimierz szepnął coś z znaczącym uśmiechem zacnemu naszemu ekonomowi.

Pan Bazyli kiwnął pojętnie głową, łypnął wielkimi, zielonemi oczyma, i nie bez znaczenia mlasnąwszy językiem zawołał:

— O co fajś, to fajś!... ale już to w tem moja głowa!... jak wielmożnego pana szanuję moja głowa!... powtórzył z naciskiem.

Pan Kazimierz zadowolony z rozmowy, kazał sobie osiodłać wierzchowca i wyszedł do pokojów. Po chwili ubrany już stosownie wrócił na ganek, gdzie piękny, młody karosz go oczekiwał.

Wyjechał za wieś. W uszach brzmiały mu jeszcze ostatnie słowa rozmowy z ekonomem, a przed oczyma migąła się blada twarzyczka o czarnych oczkach i jasnych blond włosach... Naokoło niego falowały lany żyta i złocącej się pszenicy, szumiał w dali las i biła w zbożu przepiórka...

Pan Kazimierz tego nie słyszał. Z złotej ściany łańców zbożowych, z pomiędzy ciemnej gęszczy lasu, oczom rozognionej wyobraźni jego wychylały się powabne i dorodne kształty zgrabnej figurki, i czarne skrzące się oczka osłonięte jasnym zawojem gęstych włosów...

VIII.

Romansowe strony powieści.

Był wieczór lipcowy. Przy studni, położonej nad drogą, niedaleko Prokopowej chaty stała Nastusia z pełnym źródlanej wody dzbankiem w ręku i rozmawiała z synem starego pobereźnika. Naścia wyrosła, wyładniała; piękne, jasne włosy splecione niebieską wstążką w długą kosę obficie ozdabiały przeciąglą i trochę bladą twarzyczkę o czarnych, pełnych życia oczach.

Semenko także zmężniał. Miał lat dwadzieścia, czar-niawy wąsik zasiewał się mu na twarzy, szafirowe oko błyszczało życiem, a koralowe usta błyszczały młodością. Semenko trzymał naszą sierotkę za ręce, wpatrywał się w nią z zachwyceniem, szeptał słowa, na które Nastusia spuszczała wstydliwie oczy, rumieniła się jak róża, a rączki jej drobne drżały w silnej, grubej ręce młodego chłopaka.

— Naściu!... kochasz ty mnie!... pytał po raz dzie-siąty rozmarzony Semenko wpatrując się w jej lica.

Naścia spuszczała oczy, blade jej liczka wypiekały rumieńce, a w dziewiczej piersi serce uderzało młotkiem.

— Naściu!... mówił pieszczotliwie Semenکو i cisnął gorącą dłonią drobną jej rączkę — powiedz choć raz że mnie kochasz, że lubisz popatrzeć na Semenka, pogadać z nim, pożartować, a czasem i popieścić się trochę!... powiedz! prosił rozmówany chłopak i gorący pocałunek wycisnął na białej szyi naszej dziewczyny.

Nastusia z rumieńcem rozlanym po całym licu uśmiechnęła się wstydliwie i pogroziła figlarnie palcem:

— Ej Semenku!... Semenku!... wam coś dzisiaj bardzo weselić się zachciewa!...

— A zacóż mamy się smucić, kiedyśmy razem!... szepnął uradowany chłopak i objął w pół kochaną swoją dziewczuchę — no powiedz, kochasz mnie?!...

— Kocham, Kocham!... powtarzała cichem szeptaniem dziewczyna i kryła główkę na piersi chłopaka ..

— No to dajże się raz jeszcze pocałować!... szepnął obejmując białą szyjkę dziewczęcia Semenکو.

Nastusia prosiła, błagała, lecz nadaremnie. Na korallowych jej usteczkach spoczął pocałunek kochanka.

— A teraz... mówił Semenکو, nieoddalając swych ust od rozżarzonych lic Nastusi — a teraz, pocałuj mnie!...

Dziewczyna piekła rumieńce, odwracała twarzyczkę ze wstydem, prosiła, zaklinała, lecz w końcu musiała pocałować.

Semenکو więc kochał jasnowłosą Nastusię i cieszył się wzajemnością. Miłość ich jednak nie była sielanką, wymarzoną przez Zimorowiczów, Szymonowiczów, Karpińskich itd. Semenکو kochał Naścię nie tak może na pozór idealnie jak bohaterowie powieści, nie klękał przed nią jak

przed niebieskiem bóstwem, nie wzdychał i nie zawracał romantycznie oczu — ale czuł, że go coś ciągnie do czarnych oczek ukochanej dziewczyny, że gdy jest przy niej, to mu jakoś tak błogo i miło na sercu jak nigdy, a gdy jej nie ma, to smutno i ciężko, by kamień położył...

Tak rozkochany parobczak wiejski śpiewa w dumce ruskiej:

Jak ja Handzi ne zobaczu,
Zawždy tużu, zawždy płaczu,
Jak ja Handziu pry tobi,
Moje szczęście pry meni;
Jak ja Handziu od tebe,
Moje szczęście od mene;
Jak ja Handziu zobaczu,
To czy w słotu, czy w pohodu,
Idu wesel na robotu!...

Śmieją się z miłostek ludu naszego, mówiąc zwykle: iż gdzie brak wykształcenia, brak oświaty — tam i brak uczuć szlachetniejszych.

Mybyśmy jednak na to tak odpowiedzieli:

Gdzie prostota w całej pełni, niewinność nienaruszona i otwarta szczerość, tam wszelkie uczucia wybuchają w całej pełni. Może być, iż brak wykształcenia, brak głębszego zapatrywania się na rzeczy czyni je trochę plastycznymi — zawsze jednak to zbliżanie się do formy, nieprzekraczające swych granic wypada tu na korzyść.

Miłość młodej pary nie zawsze się objawia szturkańcami ze strony kochanka, które dziewczyna wiejska uważa za najrzetelniejszy dowód miłości i przywiązania — jak wielu z szyderstwem utrzymuje. Lud nasz umie kochać — bo w piersi jego bije serce proste, nie okopcone brudami wielkiego świata i nie zmrożone przedwczesnem rozczarowa-

niem, zwątpieniami i beznadziejnym rozumowaniem pseudo-filozofów, co wszystko wysmieli, a niczego nie dociekli..

Lud nasz gdy kocha, to szczerze — namiętnie. Uczucie miłości nie rychło rozbudzi się w sercu młod'ca lub dziewy wiejskiej — ale gdy drobna iskierka zatleje — to wybucha w płomień silny, który obejmie całe serce, a rozczarowawszy, nie łatwo przygasa..

Znacież silniejsze uczucie żalu i rozpaczny z zawiedzionej miłości, nad wyspiewane w jednej piosnce ludowej:

Misiać śwityt, sońce hrije,
Bez kochanja serce mdlije,
Śwityt sońce o południ,
Lublat mene wsi pobludni.
Koły lubysz, luby duże,
A ne lubysz, ne żartujże,
Ne zadawaj serciu tuhy,
Ne woźmesz ty, woźme druhyj.
Oj pidu ja, utoplusia,
Ta o kamiń rozibjusia,
Nechaj teje myłyj znaje,
Szczo z kochanja smert' buwaje!...

Piosenka ta wydatnie charakteryzuje siłę miłości ludu naszego. Tak kochał Semenکو jasnowłosą Nastusię — taką też szczerą, nie wykwinaną w słowa, choć stokroć zato trwalszą miłością wrzało dziewicze serce Naści ku młode-mu synowi pobereźnika. .

Zmrok wieczorny zapadał. Przy studni pod wierzba-mi żegnała się Naścia z Semenkiem. On przycisnął zarumienioną dziewczynę do piersi i pospieszył ku zagrodzie ojca. Nastusia poszła z wodą ku chacie starego Prokopa.

Drogą ku dworowi, obok Prokopowej chałupy wracał pan Kazimierz z przejażdżki konnej do domu. Zmęczony koń szedł wolnym krokiem — pan Kazimierz puścił mu lejce.

O kilkadziesiąt kroków szedł Semenکو do chaty swego ojca. On widział młodego panicza — widział jak ten uśmiechnął się i zagadał coś do przechodzącej z dzbankiem w rękę dziewczyny, i kilka razy potem za nią się obrócił.

Semenkowi młotem zabiło serce, a ręce ścisnęły się konwulsyjnie...

Pan Kazimierz pojechał ku dworowi. Przed oczyma migąła mu ciągle blada twarzyczka Naści o jasnych, gęstych warkoczach włosów i czarnych, jak węgiel skrzących oczach...

IX.

Pan Bazyli Osiadacz.

Wśród chat i stodół Potockich, przy drodze przez wieś prowadzącej stała karczma. Był to budynek stary, odarty, wałący się i brudny, z powybijanymi szybami w oknach, pozalepianych natomiast papierami i pozakładanych deszczułkami. Dach obity gontami szerniał ze starości, a dwa na w pół wałące się okopcone kominy smutno sterczały u wierzchu. Cokolwiek w ziemię osiadłe ściany, niegdyś żółtą oblepione gliną, dziś odarte świeciły nagiemi belkami. Niskie, osiadłe drzwi prowadziły do obszernej izby szynkowej o brudnych, czarnych prawie ścianach, małym na w pół deszczułkami zabitem okienku i nagiej z cegieł ubitej podłodze.

Najgłówniejsze miejsce w izbie zajmował szynkfas. Na nim stały butelki, szklanki i kieliszki, dalej butle zielonawego płynu kartoflanego pełne i baryłka z spirytusem. Za szynkfasem siedziała gruba, opasła żydowica z przeraźliwie piszczącym bachorem na ręku.

W przyległej izbie pomiędzy stosami pierzyn i piernatów wychowywała się reszta kędziorawej pociechy i przyszej podpory starości rudego Wolka.

W izbie szynkowej na ławach za szerokim, zabrudzonym stołem siedziało kilku chłopów. Wolko zapisywał coś sobie kredką na szynkfasie, a kochana jego Sura napszczała do kieliszków z za przedziwnej czystości palca wonnego truneczku anyżowego, od czasu do czasu przerywając sobie to zatrudnienie ocieraniem zakatarzonego noska młodego Leibusia, który darł się i wrzeszczał przeraźliwie, rzęsistemi łzami skrapiając słodziutką anyżówką napełnione kieliszki.

Pod oknem, za stołem zastawionym butelką gorzałczyny i dwoma napełnionymi kieliszkami siedział pan Bazyli Osiadacz. Obok niego skuliła się garbata postać starej Antoszczychy. Pan Osiadacz był dzisiaj w kapitalnym humorze. Muskał najeżony wąs, mlaskał językiem i popijał słodką anyżówkę.

Stara czarownica uśmiechała się z zadowoleniem, twarz jej wypiekały gorączkowe rumieńce, a grube, nadęte usta często zazierały na dno kieliszka, który troskliwy ekonom rychło znowu napełniał.

— Wolku!... wołał po wypróżnieniu buteleczki — dajno drugą, ale tej lepszej, wiesz, z kminkiem!...

Wolko wykręcił się na patynku, podwinął poły brudnego łapserdaka i wylazłszy na stółkę sięgnął ręką na wierzch szafy, gdzie rzędem poustawiane uśmiechały się do gości powabne flaszeczki. Z tych wybrawszy jedną postawił przed ekonomem:

— A fajner sznaps!... aj waj!... niech pan komisarz tylko zasmakuje!... cimes!...

— No, no!... cymes czy nie cymes, aby no tylko mocna!... odparł z powagą pan Bazyli i napełnił oba kieliszki. Po chwili przytknął jeden do ust.

— Tfu!... — splunął — niedobra!... słabizna!... ani ją człowiek nie poczuje!.. —

— A waj!... kłopot!... krzyknął łapiąc się za pejsy arendarz — a zkad ja go wielmożnemu panu komisarzowi wezmę mocniejszego!.. to sam spirytus!.. echte okowyta!.. niech pan komisarz pije zdrów!..

— Et!... zzachował się pan komisarz z ambicyą — padasz głupstwa i kwita!... Przecik to ja także nie cham ani moczymorda jaki, i nie u takich jak ty cyganów tspijałem gorzałczynę!..

— Nu!.. co robicz!... jaśnie wielmożny pan komisarz pił we Lwowie na rogatce likiery i rosolisy!.. nu!.. ja wim!.. jaśnie wielmożny pan komisarz nie akich wódków spijał!..

— Ale ja tegi nima m!... zakończył z determinacyą chowając ręce za pas.

Pan Osiadacz odsapnął z powagą. Słaba strona odezwała się w nim. Pan Osiadacz nadzwyczaj lubiał szumne tytuły. Byle go tylko zatytułować „jaśnie wielmożnym komisarzem“, to już dość.

Pan Bazyli odsapywał z powagą, marszczył brwi, podnosił się na piętach i bywał w takich razach nadzwyczaj pobłażliwym.

Tak też i dziś odezwała się w nim słaba strona. Mądry Wolko wiedział gdzie ugodzić. Pan Osiadacz odsapnął z powagą, zmarszczył brwi i podniósł się na piętach:

— No — dobra już i ta, kiedy nie masz innej — przemówił łagodniejszym głosem napełniając kieliszek Antoszczychy.

— Pijcie!... mówił — dobry trunek na frasunek!... aby no tylko!... i pan ekonom westchnął ciężkiem sapięciem brzucha.

Antoszczycha szósty z kolei kieliszek przyłożyła do ust.

— Ot!... aby no tylko!... mówił pan ekonom napełniając nieznacznie znowu oba kieliszki — tyle pociechy jeszcze na nasze kłopoty i troski!...

— Zdorou babulu!... i stuknąwszy kieliszkami cały haust wylał w bezdenną przepaść gardlaną.

— Oj, kłopoty, kłopoty!... potwierdziła babuła, i wychyliła świeży kieliszek anyżu.

Pan Bazyli odsapnął żałośnie. Siódmy kieliszek słodziutkiej wódeczki nalanej z za palca grubej Sury rozrzewnił go nadzwyczaj.

— He!... westchnął z spółczuciem — człowiekowi ino cierpieć na tym świecie!...

— A wam jak tam w domu idzie — spytał po chwili — Nastka dobra dziewczyna... w niejednym was pewno wyręczy i pomoże!...

— Gdzietam!... przerwała czarownica — ot zdaje się wam tylko!...

— Robi bo musi!... dodała po chwili — ale nie będzie z tego dziewczyska nic dobrego!...

— Tak?... zapytał ze zgrabnem zdziwieniem pan Osiadacz — a więc ciągle jej jeszcze w głowie ten kołtun chamski, ten ladaco!...

— Kto?... poderwała szybko czarownica, a oczy jej zaświeciły fosforycznie...

— A ten mudrahel chłopski, to paniątko chłopskie!... określał coraz bliżej ekonom.

— Semenکو, syn gajowego?... poderwała znowu stara z dzikim uśmiechem na czarnej, pomarszczonej twarzy...

— A ten, ten sam!... potakiwał pan Bazyli uśmiechając się szydersko.

-- Niedoczekana wasza godzina!... krzyknęła czarownica i ścisnęła konwulsyjnie pięściami..

Siedm kieliszków anyżówki zaczynało z niej przemawiać. Na czoło wystąpiły żyły, oczy zaszyły krwią, i cała twarz rozplomieniła się. .

— Czekał ty Hrehorcuku!... wołała baba w paroksyzmie pijaństwa — przypomnę ja ci twego starego b a t'k a. czekał!...

Pan Osiadacz zacierał z boku ręce i uśmiechał się radośnie. Muskał wąsy, potem młaskał językiem i szeptał do siebie z zadowoleniem:

— Aby no tylko!... aby no tylko!...

Wszystko to było oznaką wyśmienitego humoru. Czarownica się wściekała, biła pięściami o stół, pan Bazyli poddawał anyżówki, a rudy Wolko siedział za szynkfasem i niespokojnie przypatrywał się temu, niespodziewając się podobnej sceny. Nawet wrzeszczący przedtem bachur na rękach opasłej Sury zamilkł, i włożywszy pięć palców w szeroko rozdziawioną gębę wybałuszył oczy w stronę, gdzie pan Bazyli z czarownicą rozmawiał...

Po chwili drzwi szynkowni się otwały, i wszedł barczysty chłop o czerwonej, nabrzęklej twarzy. Okrywała go brudna siermięga.

Był to Prokop.

Nasze towarzystwo pod oknem na widok przybywającego do karczmy gościa — umilkło.

— Żwiraka!... mruknął pogardliwie pan Bazyli i splunął...

Ojciec naszej sierotki zatoczył okiem po izbie, mruknął pod nosem jakieś przekleństwo, i kierując niepewne kroki ku wabiącemu wystawą szynkfasowi, zanucił chrypliwym głosem:

Kazau meni Harasym, Harasym!... itd. itd.

Po chwili w szynkowej izbie rudego Wolka nie było już znajomego nam towarzystwa. Prokop tylko rozwalił się za stołem, rozkoszując w kwarcie śmierdzącej gorzałki...

Antoszczycha niepewnym krokiem zdążyła do domu. Oczy jej łyszczały złowrogo, a z ust wydobywały się ciche, przytłumione przekleństwa..

Pan Bazyli Osiadacz skierował ku dworowi. Idąc trzymał się środka drogi. Czasem zajechał nogami na jeden kraj rowu, to znowu na przeciwny, przed oczyma mu się ćmiło, a w głowie szumiała anyżówka... W drodze myślał sobie i mruczał pod nosem:

— A to mi się udało!... Stara się wścieka, i Bóg wie jakiego licha gotowa nawarzyć!...

— A teraz paniczowi droga otwarta — stara wybije Nastce z głowy głupie te kochania, a reszta to już pójdzie jak z płatka!... Aby no tylko!... aby no tylko!...

X.

Z krwawych dni.

Miłość Semenka i Nastusi była cichą, tajoną przed ludźmi. Oprócz ich obojga nikt prawie nie wiedział o niej. Semenko taił swoją miłość, bo bał się, aby zimny śmiech i szyderstwa nie zmroziły jej, bo bał się języków złych ludzi, których najwięcej na Bożym świecie...

Jeszcze więcej przyczyn do tajenia jej miała Nastusia. Stary Hrehory bowiem wraz z swoją rodziną był niecierpianym od Prokopa i starej czarownicy. Wiązała się z tem rzecz, której opowiadanie zdaje nam się niezbędnem.

Cofnijmy się więc o kilkanaście lat wstecz od ostatnich zdarzeń naszej powieści. Było to smutnej pamięci 1846 roku. Kraj nasz wstrząsnęły wewnętrzne burze. Długim, strasznym smugiem czerwieniały łuny pozapalanych dworów, a z miejsc onych zalatywały dzikie wrzaski rozwścieklonych tłumów ciemnego ludu, i rozlewała się krew bratnia !...

W Potokach także się zaczęło burzyć. Lud szemrał na pana, na ekonoma, na attamanów i posiepaków, co byli istnymi katami biednych włościan Potockich — skupiał się często gromadnie, tajemnicze narady odbywały się w karczmie, przy kufach gorzałki, a małe, kuse figurki agitowały pomiędzy spiskującymi.

Na czele wszystkich rozruchów w Potokach stał Prokop. On nie zapomniał wszystkich plag, odebranych pod cerkwią od dworskiego attamana za niestawienie się na robotę — to też myślał o okropnym, krwawym odwecie...

Tak stały rzeczy aż do mglistej, posępnej jednej nocy, w której uspione Potoki miały być widownią strasznych wypadków.

Xiężyc zbladł i schował się za wilgotne chmury, w powietrzu osiadła mgła, i cicho i ponuro jakoś było w siole. W karczmie tylko jasne buchało ognisko, pękały kufy spirytusu, dzikie wrzaski rozlegały się po izbie — a gdzieniegdzie pomiędzy pijanymi załyszczwały świeżo naostrzone kosy...

Niedługo potem czerwona luna świeciła nad Potokami. Dwór stał w płomieniach.

Pijany tłum zdązał ku dworowi — na czele szedł rozwścieklony Prokop z kosą w ręku...

Twarz jego wyglądała okropnie — usta ciskały straszniemi przekleństwami. Jeszcze kilka chwil, a dwór i mieszkańcy jego staliby się pastwą pijanych tłumów ludu, gdyby nie nagła pomoc, która zmieszła szyki wyprawie Potockiej.

Pomiędzy zgromadzonemu w karczmie włościaństwem znalazł się jeden, który inaczej myślał. Był to Hrehory, ojciec naszego Semenka. Niepostrzeżenie wymknął się

z karczmy i po chwili był już w drodze do pobliskiego miasteczka. W godzinę potem, gdy dwór stał już w płomieniach i pijane tłumy dobywały się do bramy — zdążył wczas jeszcze z przydaną mu eskortą konnicy wojskowej, ażeby uratować domostwo i mieszkańców jego od niechybnej zagłady.

Naczelnicy wyprawy zostali powiązani i do cyrkułu odwiezieni. Pomiędzy nimi znajdował się także i Prokop.

Hrehorego zniecierpiano w całym siole. Wszyscy stornili od niego. Tymczasem Prokop wraz z innymi głowami wyprawy skazani zostali na sześć lat ciężkiego więzienia w kajdanach.

W roku 1848 w skutek ogólnej amnestyi wszystkim prawie przywróconą została wolność. Wielu powróciwszy do rodzinnej wsi, szczerze żałowało poczynionych zbrodni.

Prokop tylko jeden wyszedłszy z więzienia nie zmienił się ani o pół włosa. Hrehorego znienawidził i cały oddał się pijaństwu...

Nie mniej niecierpiała starego ojca Semenkowego babka naszej sierotki. Stara Antoszczycha mawiała, iż Hrehory „zlaszył“ się, i odstrychnął całkiem od prawowiernych chłopów.

Nie bez powodu więc ukrywała się biedna Nastusia ze swemi uczuciami ku młodemu synowi gajowego.

Nie bała się ona tyle ojca — bo ten od niejakiego czasu tak się zapił, iż zapomniał o Bożym świecie, i nic go już prócz karczmy rudego Wolka nie obchodziło — ale więcej się bała biedna sierota babki, któraby jej wtenczas nie dała spokoju...

Obawianie się Nastusi nie było bezzasadne. W kilka dni po owym wieczorze, spędzonym przy studni z Semenkiem stara Antoszczycha dowiedziała się o wszystkim.

Nie będziemy opisywać, co musiała znieść w pierwszych dniach biedna sierotka od rozzłoszczonej czarownicy. Schadzki z Semenkiem ustały, a Nastusia przesiadywała już więcej w chacie. Widywała się wprawdzie czasem z Semenkiem, ale to zdarzało się bardzo rzadko. W niedzielę tylko w cerkwi byli przy sobie dłużej. Zresztą stara Antoszczycha pilnie śledziła wszystkie kroki Naści, bacząc, by ta najmniejszych nie miała schadzek z młodym synem gajowego.

Tak wśród smutku i naigrowań biednej babuni schodziły dnie biednej dziewczynie — igraszce zachceń panicza ze dworu i intryg zacnego pana Bazylego...

Pan Kazimierz ciągle myślał o Nastusi — bo nie miał o czem innem myśleć -- wyjeżdżał często na przechadzkę, kręcił się około chaty Prokopowej — lecz nadaremnie. Nastusia bała się spojrzeń młodego panicza jak diabła wijącego się pod stopami Anioła stróża, którego wyobrażenie widywała na carskich wrotach w cerkwi Potockiej. Przesiadywała więc najczęściej w chacie...

XI.

Dziad z za kordonu.

Z karczmy rudego Wolka wychodził Prokop. Z miny jego można było poznać, iż darmo czasu w karczmie nie marnował, i nie martwił troskającego się o swoje dobro arendarza.

Czapka brudna, dziurawa okrywała wzburzoną głowę. Oczy czerwieniały od napoju, twarz cała opryszczona i nabrzęka wyglądała chorowito.

Prokop wracał do domu. Idąc trzymał się środka drogi; nogi mu nie statkowały, cały korpus chwiał się i zataczał, a z gardła ochryplym głosem wylatywała piosenka:

Kazau meni Harasym, Harasym itd. itd.

Tak doszedł nieszczęśliwy ojciec naszej Nastusi aż na koniec wsi. Za płotami, na pagórku u stóp krzyża kryjącego się między zielonymi brzózkami siedział stary dziadek. Ubrany był w białą, czystą siermięgę, na plecach i bokach jego wisiały torby. Piękna, pomarszczoną twarz

bujny okrywał zarost. Białe jak śnieg wąsy i długa broda, dodawały wiekowej postaci jego powagi. W rękach trzymał zwykłą, dziadowską lirę.

Był to stary Fedory, nieznajomy dziad z za kordonu, z Wołynia, który często przechodząc niedaleką ztąd granicę, bawił na stronie jednej jakiś czas, aż znowu odwiedziwszy okoliczne sioła i miasteczka, wracał w rodzinne strony, na Wołyń...

Stary Fedor odmawiał głośno wieczorne pacierze; ujrawszy nadchodzącego Prokopa przymilkł i obróciwszy parę razy korbą liry zanucił dźwięcznym głosem:

Czorna hreczka, biły krupy,
Ne popadaj diucze w ruki,
Bo jak meni popadeszsia,
To tia łycha naberez sie...

Prokop zataczając się zbliżył swe kroki ku dziadowi. Stary Fedor nie zważał na to i uśmiechając się dobroduszenie kręcił korbą i spiewał dalej:

Skoro dincza ślub i wzięło,
Slozenkamy sie zalało:
Ach szczożem ja uczynyla,
Szczom pianyciu polubyla!...

W ostatnich słowach tej zwrotki odspiewanej przez dziada poznać można było szczególniejszy nacisk. Twarz jego przybrała wyraz szyderczny, i uśmiechała się pogardliwie!...

Prokop usłyszawszy ostatnie słowa piosenki Fedorego zacisnął pięście, potoczył w koło wzrokiem i wrzasnął ochryplym głosem:

— Mouczy ty didu skażenyj!.. Psia wiaro!... czyś zapomniiał już twojej litanji do Poczajewskojej Maty!...

— Ha! ha! ha!... zaśmiał się szyderczo dziad i cofnął się z lirą za krzyż — jak to prawda kole w oczy!...

Po chwili słyhać było znowu dźwięk liry i śpiew:

A w sobotu zaruczyu sia,
A w nedilu ożenyu sia,
W ponedilok zaczau pyty,
A wi wtorek żinku byty...

Prokop był w najwyższej złości. Szydercze słowa piosenki, jak gdyby prawdziwa historia życia jego, rozdrażniły go do najwyższego stopnia.

Tymczasem dziad stał za krzyżem i śmiał się szyderczo. Prokop w pijanem uniesieniu porwał za obok na ziemi leżący kij i wymierzył nim ku Fedoremu. W silnym jednak zamachu potrafiwszy o gałąź pochylonej brzozy stracił równowagę i zatoczył się na drogę...

Głośny śmiech dziada zahuczał z za krzyża. Po chwili znowu ozwała się piosenka:

...Czołowicze bijsia Boha,
Czołowicze szczo ty robysz,
Szczozawsiudy pjanyj chodysz!...

— Ha!... skażena twoja hodyna!... zaklął dziko Prokop i potoczył się dalej, ku swojej chacie...

W oczach mu się ćmiło, cały świat się naokoło niego kręcił...

Niedaleko swej chaty stanął. Zdała zalatywały jeszcze urywane słowa Fedorowej piosenki:

Ach szczożem ja uczyniła,
Szczom pianyciu polubiła!...

On słuchał słów piosenki, krew się w nim burzyła, a w oczach ciemniało. Nad miarę niż zwykle użyty dziś trunek począł się w nim silniej burzyć. Krew buchnęła mu do głowy, bezprzytomnie zatoczył się ku parkanowi i uderzył głową o pień drzewa...

Uderzenie było silne, krew go oblała, i upadł na ziemię...

W tej chwili wychodziła Nastusia z chaty. Co się z nią działo, gdy ujrzała ojca we krwi leżącego, nie potrzebujemy opisywać.

Biedna sierotka kochała ojca, mimo iż nieszczęśliwy pijak żadnego dla niej nie mógł żywić uczucia. Gdy przybiegła na miejsce, gdzie krwią obłany ojciec jej leżał, zastała go już konającego... Nieszczęśliwy Prokop miał rozbite zupełnie skronie; wił się w męczarniach okropnych, jęczał i kłął przerażająco.. Po chwili zamilkł...

Zsiniął, wyprężył się i zacisnął konwulsyjnie usta... Nad nim klęczała nasza sierotka i polewała wodą skrwa-wione jego skronie...

Stary Fedory nie wiedząc o zaszłym około Prokopowej chaty wypadku, wziął lirę pod pachę i poszedł ku karczmie. Nagromadziło się tam wielu gospodarzy. Fedory dużo miał do opowiadania ciekawym włościanom Potockim. Mówił iż w polskim kraju i w Warszawie dziwne się dzieją rzeczy. Moskale rabują wsie, chaty i dwory, palą dobytek, zabierają młod'ców w niewolę, a wszystko to uchodzi im

na sucho. Potem szeptał coś ciszej gospodarzom Potockim, a ci kiwali niedowierzająco głowami. Niektórzy zaś uśmiechali się radośnie i wzdychali pobożnie.

Poźną już nocą wychodził z karczmy.

Po wyiskrzonem niebie płynął księżyc. W powietrzu była cisza. Fedory wyszedł za wieś i znikł na drodze ku lasowi...

Księżyc się zniżył ku zachodowi i bladym spojrzeniem oświecał Potoki. Ku białemu jego światłu z nad ubogiej chaty na piaskach płynął duch nieszczęśliwego pijaka, by stanąć przed obliczem Przedwiecznego...

Minęło kilka tygodni.

Tymczasem w naszej wiosce nie wiele się zmieniło. Prokop umarł, a nikt nie poszedł za jego zwłokami... Xiądz tylko, stara Antoszczycha i Nastusia rzuciły po grudce ziemi na sosnowe wieko trumny...

Nieszczęśliwy pijak nie zostawił po sobie żadnego wspomnienia. Nikt nie uronił po nim by jednej łzy, prócz może gorzkiej łzy politowania... Nawet rodzona córka jego nie miała wiele łez dla niedobrego ojca. O starej czarownicy nie mówimy, bo w niej zamarały piękniejsze uczucia pod grubą skorupą fanatyzmu i głupich czarów.

Tak skończył jeden z cieni — najnieszczęśliwszych. Ofiara ciemnoty, namiętności i brudu

Ofiara jasnych światel — bo te spokojnie patrzyły i patrzą może jeszcze na gnicie i śmierć tysiąca takich wśród brudów i śmiecia...

Lecz rzućmy zasłonę na ten przerażający obraz.

Nie odwracajmy się jednak myślą od niego: on powinien nam stać przed oczyma jako widmo sumienne, jako straszny wyrzut. Myślmy o nim — a może myśl nakłoni nas do czynu, do krwawej a ciężkiej pracy światła.

Wracajmy do opowiadania.

XII.

N a s t u s i a.

Po śmierci Prokopa w starej jego chacie zostało tylko dwoje osób: Nastusia i babka. Biedna dziewczyna coraz to więcej musiała znosić od niedobrej czarownicy. Stara była nadzwyczaj nudną: nie puszczała jej ani na krok od siebie, zaprzętała ciągłą robotą, nie dała ani chwilkę odpocząć i wolniej podumać, a nieraz to i do łez przyszło biednej sierocie gdy niedobra babka bez przyczyny często wymawiała jej chleb, chatę i kąć na przespanie długiej, nieznośnej nocy...

Były jednak dni, w których Nastusia odżywała trochę. Wtenczas mogła się widzieć z Semenkiem, odetchnąć trochę wolniej i zapomnieć na chwilę o swojej niedoli... Były to dni, kiedy wychodziła w pole na robotę.

Takiego to więc dnia, wieczorem, wracała z pola do chaty. Po głowie snuły jej się różne, przeróżne myśli. Myślała o matce, to o babuni, o Semenku, i o nieszczęśliwej swojej doli...

Biedna dziewczynka wzdychała ciężko, a oczy jej zachodziły łzami...

Ścieżka prowadziła przez łąn zbożowy. W okolo niej szumiały fale żyta, kwiaty kwitły, a z pobliskiego lasu zalatywały śpiewne gwary ptaków. .

— Mój Boże!... — myślała sobie nasza sierotka rozglądając się w okolo po prześlicznym, choć tak szczupłym i smutnym krajobrazku — jak to wszystko na ziemi tej Bożej piękne, wesołe!...

— Wszystko się cieszy, wszystko raduje, tylko sierocie biednej źle i niewesoło na świecie. .

I kilka łez potoczyło się po białem jej licu, a dziewicze piersi podniosły się westchnieniem. Westchnienie to ofiarowane było duchowi zmarłej matuli i... jeszcze jednej żyjącej osobie, która ją jedynie do świata tego przywiązywała. Osobą tą był Semenکو.

Nasza sierotka straciła już nadzieję choćby trochę jaśniejszego połysku szczęścia na tej ziemi. O Semenکو bała się i podumać, aby jej przed oczyma nie stanęło widmo rozzłoszczonej czarownicy..

A przecież ten najmilszy przedmiot jej marzeń nasawał się ciągle przed oczy gorzkiemi zachodzące łzami...

Biedne dziewczę pasowało się z sobą. W młodem i niewinnem jej sercu wrzały uczucia świeże, czyste i nieskalane. Uczucia te wylały się w tej chwili w rzewnej piosence ruskiej, którą sobie zadumana dziewczyna wyśpiewała:

Nieszczęśliwyje zakochania,
Treba zabuwały,
Tiażko serciu, nudno,
O tom' spomynaty...

Piękna, smutna nuta dumki ruskiej, wyśpiewanej głosem czystym i dźwięcznym szeroko rozeszła się po okolicy. Powtórzyły ją sobie obszerne łąny zbożowe, odspiewał stugłównem echem pobliski las, aż dziewczę przestraszyło się własnego śpiewu...

Po chwili wszystko ucichło...

Piosnka wyrwała Nastusię z zadumania. Jakby orzeźwiona pocięła raźniej ścieżką ku chacie za cmentarzem.

Tymczasem z za łąnu ozwał się głośny tentent cwałującego konia. To pan Kazimierz wracał z konnej przejażdżki. Koło cmentarza ujrzał biegnącą Nastusię i puścił koniowi lejce. Po chwili był już blisko zmieszanej i zarumienionej dziewczyny.

— Naściu!... wołał za nią — czekaj!... czego tak uciekasz odemnie!...

Biedna dziewczyna nie wiedziała, co z sobą robić. Nogi pod nią drżały, serce uderzało podwójnie, twarz oblały rumieńce. Nie obróciła się ani razu ku doganiającemu ją paniczowi, i biegła przestraszona przed siebie, nie wiedząc gdzie i czego ucieka.

— Naściu!... słychać było znowu głos panicza — czegoż tak się mnie boisz!... zaczekaj!... tylko słówko!...

Ona nie słuchała. Jakaś siła gnała ją naprzód i szepotała jej ciągle do ucha:

— Uciekaj!... uciekaj!...

Koło figury stał młody, smukły chłopak i z niespokojem patrzył przed siebie. Ku miejscu temu kierowała kroki swe nasza dziewczyna. Po chwili dobiegła, — parobczak przytrzymał ją i krzyknął z zadziwieniem:

— Nastusia!...

-- Semenka!... wyjęła dziewczyna tuląc się w objęcia parobczaka.

W tej chwili nadjechał w galopie pan Kazimierz. Twarz jego była zarumieniona -- oczy pałały gniewem -- ujrawszy Semenka, rzucił przekleństwem i świsnął harapnikiem nad głową parobczaka..

— Przeklęty cham!... zawołał i ścisnął konia ostrogami...

Po chwili koń i jeździec zniknęli w kurzawie.

Koło figury został Semenka z okrwawioną od cięcia paniczowskiego harapnika twarzą, i niemogąca ochłonąć z przestrawu i zmieszania Nastusia...

Koniec części pierwszej.

CZĘŚĆ DRUGA.

I.

Pan Bazyli Osiadacz zwiastunem wielkiej nowiny.

Było to w zimie. Ziemię okrywał śnieg; silny mróz ścisnął go, a w nocy nadawał białej skorupie jego połysk brylantowy. Drzewa okryte białymi płachtami śniegu spoczywały w martwym śnie. Powietrze zalegały gęste mgły.

Była więc zima prawdziwie nasza rodzima — z jej mrozem kilkunastostopniowym, z śniegiem, wystarczającym do wybornej sanny, z zawieruchą i zimnym wichrem północnym, co zagania wszystkich ku ciepłemu i jasnemu spojrzeniu kochanego naszego kominka!...

Niejeden może powie: dałbym dwie zimy za jedno lato!... — i skrzywi się na nasze powiedzenie. My mu wręcz jednak powiemy, że wcale się z nim nie zgodzimy. Bo trzeba być już chyba Włochem lub Niemcem, przyzwyczajonym wygrzewać się we dnie pod żarem płomieni słonecznych, a w nocy rozkoszować pod całym stosem ciepłych pierzyn, — by nie kochać tej naszej zimy, co tyle ukrywa przyjemności, tyle piękna w sobie!...

A te noce, z wyiskrzonym gwiazdani niebem, z tysiącem brylantów rozsypanych mrozem po białej powierzchni ziemi, a z ciszą jakąś uroczystą rozlaną po powietrzu, czyż nie dorównają nocom letnim choć może cichsze, poważniejsze i smutniejsze trochę od tamtych?...

A zawierucha?... Gdy niebo się zachmurzy i rozsiejemy miliardy białych płatków śniegowych, które smutny wichur północny szeroko po przestronnej powierzchni naszych pól i łąk rozwieje?...

Czyście bładzili kiedy wśród takiej zawieruchy, gubiliście dzwonki u sań, i pośród późnej nocy, poodmrażawszy sobie uszy, nosy i nogi wzdychaliście do migających się światełek wioski, które, wśród mgły zaciemniającej wszystko, daleko gdzieś przed końmi łyszczą?...

A w końcu, wróciwszy szczęśliwie do domów, z jakimże uczuciem witaliście poczciwy nasz kominek, tak ciepłym a miłym światłem buchający!... Z jakimże apetytem zmiataliście z talerzy wieszak, którą z pewnością wzgardzilibyście w innym czasie!.. Z jakąż rozkoszą nareszcie udawaliście się na spoczynek, w łóżko czystą pościelą zasłane — a jakże słodkim był i sen wasz wtenczas!...

Ale zakończmy już tę naszą pogadankę, którą niejedna piękna czytelniczka ledwie przerzuci okiem, by jak najprędzej natrafić na dalszy wątek opowiadania.

Wracajmy więc do rzeczy.

Piękną była zima 1863 roku. Zdawało się, iż sam Stwórca ciepłym promieniem chciał zagrzać serca braci naszych i dodać im otuchy w cierpieniach...

Było to więc na początku lutego. Mróz był mierny, niebo wypogodzone nie zaszło ni jedną ckmurką, a ciepłe słońce jasnym spojrzeniem ogrzewało świat Boży...

W spokojnej ciszy zimowej spoczywały Potoki. Chaty szczelnie pozamykane, ściany pookrywane słomianemi matami; na dachach poosiadał grubo śnieg i tylko czarne, wiecznie dymiące kominy wydobywały się z za białej osłony dachu.

Trochę żywszy widok przedstawiała karczma. Przed otwartemi drzwiami wjazdowemi stało kilka fur chłopskich. Zmęczone konięta jadły siano z zawieszzonego u dyszla worka. Koło progu drzwi, prowadzących do szynkowni, na śmieciisku zarzuconem płachtami, szmatami i na wpół zgniłą słomą grzebało kilka kur szanownej połowicy rudobrodego Wolka.

Właśnie w chwili, gdy się przypatrujemy Potockiej karczmie, z drzwi jej wychodzi pan Bazyli Osiadacz. Zaczny ekonom miał na sobie żółty, trochę zasmarowany kożuszek z wyszywaniem czemerkowemi, na głowie czapkę także baranią, wielką i szeroką jak gniazdo, spodnie czarne, kraciaste z grubego sukna, schowane w wysokie, wyżej kolan sięgające cholewy butów z żółtoczerwonemi uszkami. Pan Bazyli był coś dzisiaj w nader dziwnym humorze. Wywijał rękami na wszystkie strony, w jednej trzymając grubą, brzozową laskę, w drugiej świeżo z poczty przywiezione gazety.

Po kilku chwilach był już na ganku dworu. Oczywiście starannie buty i krząknawszy z należyłą powagą w sieni (co było u niego w zwyczaju, gdy chciał osobom będącym w pokojach dać znać o sobie) wszedł do pokoju pana Kazimierza.

Pan Kazimierz siedział właśnie przed biurkiem i paląc sygaro zapisywał coś w rejestrach gospodarskich.

Zacny pan Bazyli odkrząknął jeszcze raz głośniej, wysunął lewą nogę naprzód i nadawszy swej osobie należytą powagę wymówił jak mógł najuroczyściej:

— Sługa wielmożnego pana!...

Silny bas organu piersiowego szanownego rządcy ocknął pana Kazimierza. Oglądnął się i ujrawszy ekonoma z pakietem gazet w rękę, wyciągnął po nie rękę...

Pan Osiadacz uśmiechnął się tajemniczo i z niepopolitym wyrazem na twarzy przysunął się do biórka.

— Gazety... i wielkie nowiny!... mruknął tajemniczym głosem i uśmiechnął się radośnie.

— No, cóż takiego?... zapytał prędko pan Kazimierz

— Wielkie nowiny!... szepnął po raz drugi pan Bazyli i przysunął się jeszcze bliżej do biórka, a twarz jego przybrała wiele obiecującą minę.

— No, mówże pan, bo jużem na prawdę ciekawy!... zawołał pan Kazimierz rozdzierając opaski gazet.

Pan Osiadacz sfałdował twarz do uroczystego jakiegoś uśmiechu. Odsapnął z powagą i przykładając lewą dłoń do twarzy, szepnął omal że nie w same ucho panu Kazimierzowi:

— Rewolucya!... powstanie!...

Wyszepnąwszy to zacny pan Bazyli odetchnął z całej piersi. Oblicze jego promieniało radością.

— Gdzie?!...

— W Warszawie!... a by no tylko!... wysapał wraz z swem ulubionem przysłowiem pan Osiadacz. Wyrażenie „w Warszawie“ miało dla zacnego rządcy dóbr Potockich wielostronne znaczenie. Cały szmat kraju począwszy od czarno-żółtych słupów lotaryngskiego domu aż po zimne

ziemie Sybiru, obdarzał często szanowny pan Bazyli mianem kochanej naszej królewskiej stolicy.

Pan Kazimierz konwulsyjnym ruchem roztworzył gazetę i zaczął czytać. Co tam w niej mogło być, to mniej więcej każdemu z czytelników naszych będzie zapewne wiadome, dość, że podczas czytania oblicze pana Kazimierza coraz to bardziej się rozjaśniało...

.

W kilka chwil potem ze dworu wychodził pan Bazyli. Rozmyślał nad ostatnimi wypadkami „w Warszawie“. Twarz jego uśmiechnięta radośnie zakrawała trochę na podobieństwo do xiężycy w pełni.

— Langiewicz!... hm!... Langiewicz!.. szeptał do siebie wywijając grubą, brzożową laską — toto szelma musi być łepak dopiero, kiedy tak bez przeproszenia tłucze Moskali!... fiu! fiu!... i machnął ręką po za uszy...

Jedna tylko rzecz nie podobała się panu Bazylemu.

W przywiezionych z poczty gazetach wyczytał pan Kazimierz, iż w powstaniu polskim za kordonem, szczególnie pod Langiewiczem włościąństwo wielki udział bierze.

Zacny pan Osiadacz nie mógł tego jakoś ze swojemi wyobrażeniami pogodzić.

Jemu się zdawało, iż to żadną miarą nie mogło się stać.

— Po co to chamom mieszać się w nie swoje interesa!... mruzczał z niezadowoleniem — co panu wolno, to tobie durniu zasie!..

— Ot!... kołtuny!... pozwól kurze w grzędę, ona zechce wszędy!... aby no tylko!... zakończył z kwaśnem skrzywieniem ust, i doszedłszy do karczmy otworzył drzwi i wszedł do środka szynkowni...

II.

Izba gościnna karczmy rudego Wolka.

Gwarno i pełno było w izbie gościnnej karczmy rudego Wolka. Była to bowiem niedziela: a w niedzielę wieczorem każdy włościanin rad spieszy na pogadankę, by przy szklance piwa lub miodu zasięgnąć nowin jarmarkowych, pogawędzić o gospodarce, poskarżyć się na ciężkie czasy, podatki i natłok roboty, i na dobytek biedy a ku wzrostowi kieszeni arendarskiej zakończyć perlistymi szumami zielonej anyżówki...

Gdy młódź się zejdzie, hożych parobczaków kółko i grono dziewcząt świątecznie poprzybieranych, więc zaraz zkąds i skrzypek się zjawia, i stary basista rozsiada się na ławie...

Wesołe skrzypki wygrywają kozaka, kołomyjki, prysiudy, polki, bas wtóruje, a młodzież bawi się tańcem i śpiewkami, podczas gdy starsi siedząc po za stołami raczą się trunkiem i gwarząc to o tem, to o owem przyglądają się tańcom młodszego pokolenia.

Był więc wieczór. W szynkowni zeszło się kółko włościan, kilku z sąsiedniej wsi przybyło z odwiedzinami do krewnych i znajomych w Potokach.

Pomiędzy zgromadzonymi najwięcej mówił znany nam z pierwszej części dziad z za kordonu, Fedor, który znowu przed kilku dniami zjawiwszy się w Potokach, dziwne rzeczy rozpowiadał mieszkańcom naszego siola. Sam wójt nawet usłyszawszy ważną jakąś tajemnicę z ust starego Fedora, przybrał poważną minę, zamyślił się głęboko i kiwając powoli głową, powiedział:

— Ha!... Bóg to tylko jeden może wiedzieć, co to z tego będzie!... —

A stary Fedor mu na to:

— Łučku!... jesteście synem zmarłego już Mateusza Hreczychi, co to wszereż i wzdłuż na wszystkie siola był pono najrozumniejszym i najpocziwszym wójtem, nieprawda?...

— Taże niby tak!... potwierdził Łučko.

— A jakże!... tak!... prawdę mówicie Fedorze!... ozwał się ten i ów z włościan i pokiwał z uznaniem głową.

— Pamiętacież więc Łučku!... ciągnął dalej Fedor — jak to nieboszczyk Mateusz, umierając zdawał na was wójtostwo w Potokach!.. Mówił on wtenczas: Łučku!... tyś mój jedynak!... niema już więcej nikogo, ani ojca, ani dziecka, ani żony, tylko ciebie jednego Bóg mi na świecie zostawił!... Ja umieram, bom stary, spracowany, taj już do niczego!... ale ja zostawiam ciebie, jedynaka mego i podporę długiej starości mojej!... Synu mój!... oto przez czterdzieści lat byłem wójtem w Potokach, a nikt nie powie mi teraz przy śmierci: „Złym byliście wójtem Mateuszu Hreczycho!... nie warcicie, by wam Piotr święty podwoje

niebieskie otworzył!...“ Tego nie słyszałem w całym moim życiu. Toż i zasnę w Bogu spokojnie, a nie mi już snu tego nie zamąci!...“ —

— Amen!... szepnął Łućko pobożnie.

— Świeć Panie nad jego duszą!... — dodał ten i ów pomiędzy włościąństwem — pocziwe to było człeczysko!...

A stary Fedor odetchnąwszy chwilę tak ciągnął dalej:

— „Łućku!...“ mówił więc stary Mateusz przyciskając was do swojej piersi, „oto gromada w Potokach chce, by po śmierci mojej tyś w siole wójtował!... Ale pamiętaj, że nie tak łatwo to wykonać, jak wypowiedzieć!...“ Tak mówił stary wasz bat'ko i pobłogosławił was przed śmiercią swoją... A znać, że to błogosławieństwo nie uciekło od was, bo oto i ludzie kontenci z waszego wójtostwa, i wam się dobrze wiedzie, w domu szczęście, dostatek i zgoda!... —

— Bogu niechaj będzie za to chwała! szepnął pobożnie Łućko Hreczycha i uchylił głowę...

— Jesteście więc wójtem jakich mało!... mówił dalej Fedory zwracając się ku Łućkowi — takim, że i ojciec wasz stary pewno się tam gdzieś raduje w niebie, jesteście gospodarzem na całe Potoki najlepszym, a powiadają ludzie, i mnie się także tak niby zdaje, że macie choć prosty, ot taki — chłopski, aleć przecie swój, a nie kradziony rozum... i lada komu nie dacie kaszę z miski waszej wyjeść!... —

— O!.. co to, to nie!... huknął gromkim głosem Łućko Hreczycha i zarechotał tak, aż się szyby w oknach zatrzęsły...

— Przecież!... ciągnął dalej Fedor...

— Co?!... poderwał szybko wójt.

— Przecież!... — zaczął znowu z flegmą Fedory i uśmiechnął się znacząco — przecież nie dowierzacie gdy wam powiadam, że znaleźli się na świecie ludzie, co sobie wszystkiej kaszy z misy drugim nie chcą dać wyjść, i... —

— Aha!... rozumiem!... zawołał ze znaczącym uśmiechem wójt i pociągnął wzrokiem po zgromadzonych.

— To niby znaczy: trzymaj durniu swije, a widdaj szczo mi je!... i zaśmiał się dobrodusznie...

— A jakże!... a jakże!... zawołał uradowany Fedor potakując wójtowi.

Chłopi niedowierzająco pokiwali głowami

— Dit'ko tam znaje szczo to takoje!... szepnął jeden.

— A bo ż!... potaknął drugi i kiwnął niechętnie głową.

— Pańszczyzna!... szepnął złowrogo trzeci i zacisnął pięście.

— Zachciało się panom swobody, taj hulają!... dodał nny z szyderyczym śmiechem.

Głuchy szmer przerażenia i niepokoju rozszedł się po zgromadzonych...

Kobiety się przeżegnały, a mężczyźni cicho coś pomiędzy sobą zaczęły szeptać!...

— Hospod' sochrany!... szepnął pobożnie wójt na odwrócenie złej myśli.

Stary Fedor zamyślił się głęboko. Zmarszczył siwe brwi, przymknął oczu, a po zmarszczonej jego twarzy przeleciał jakiś wyraz chwilowego niepokoju...

Po chwili znikł zupełnie...

Fedory rzucił rozjaśnionym wzrokiem po zgromadzonych. Lecz gdy oko jego spoczęło w miejscu, z kąd przed chwilą złowrogi głos tak przeraził był wszystkich, twarz jego oblekła się chmurą smutku...

— Kto z Bogiem, to i Bóg z nim!... ozwał się po chwili — nie trzymajcie z czartem i nie wyzywajcie go, bo straszna za to kara Boża!...

Znowu szmer cichy rozszedł się po zgromadzeniu...

Łucjo Hreczycha stuknął sękatą laską o podłogę, i poprawiając baraniej czapki na głowie, ozwał się:

— Ha!... z kim prawda, temu niech Pan Bóg dopomaga!... —

Stary Fedor westchnął.

Rzucił okiem w róg izby, między kupkę młodzieży, podniósł z ławy lirę, i po chwili zanucił:

Buła Polska, buła Polska,
A teper Rossyja,
Ne zastupyt syn za bat'ka,
Ni bat'ko za syna!...

Znana nuta i słowa piosenki rozochociły młodszych. Zaczęto wtórować Fedoremu. Wkrótce cała izba szynkowna brzmiała śpiewem zgromadzonych włościan. Wszyscy śpiewali, bo pieśń ta była im rodzinną, ojczystą, bo ją z mlekiem z piersi macierzyńskiej wyssali, bo z nutą jej zasympiali w kolebce... Toż wszyscy prawie zapomnieli o poprzednio prowadzonej rozmowie, utonawszy w ślicznej melodji znanej piosenki ruskiej.

Jeszcze nie przebrzmiała nuta ostatniej zwrotki, gdy w oknie karczmy mignęła się jakaś twarz...

Wkrótce drzwi się otwarły i do izby wtoczyła się kłocowata postać pana ekonoma...

Pan Bazyli był coś w niedobrym humorze. Spluwał gęsto, poprawiał naburzonej czupryny, i mruczał pod nosem:

— Aby no tylko!... aby no tylko! puść kurę w grzędę, ona zechce wszędy!... O! co cham, to cham zawsze!... po co to wsadzać łapę w nie swoją miskę!...

I stanąwszy na środku szynkowni zacny pan Bazyli odsapnął z powagą.

— Kontuszkówka!... zawołał po chwili zwróciwszy się ku szynkfasowi.

Usłużny arendarz w jednej chwili napelnił kieliszek.

— Aaa!... odkrząknął po wychylonym kieliszku i długim rękawem swojej kapoty otarł usta.

— Ano probujmy jeszcze raz!... dodał stukając kieliszkiem.

Uradowany Wolko poskoczył ku szafie, wyjął jeden z największych kielichów i wytarłszy go połami zatłuszczonego łapserdaka, po sam wierzch napelnił zielonawym trunkiem...

— Zdorou!... zawołał sam do siebie zacny ekonom stawiając wypróżniony kieliszek i spojrział jeszcze raz na lubieżne szyjki flaszek...

— *Omnus tryni prefectum!*... wydekłamował nakoniec z emfazą, i podnosząc się na piętach mlasnął językiem.

Było to widocznym skutkiem własnego zadowolenia. Pan Osiadacz nadzwyczaj lubiał popisywać się swoją znajomością języków, szczególnie gdy był między chłopami. Słabą zaś stroną jego w tym względzie była łacina. Co czwartku będąc w pobliskim miasteczku powiatowem na jarmarku, miewał sposobność pszysłuchiwania się temu językowi, w którym nader biegłym miał być pan *Peter Eisenbart*, woźny tamtejszy.

— Co to jemu po łacińsku gadać!... aby no tylko!... mawiał z głębokim szacunkiem i prawdziwem uzna-

niem jego wielkiej nauki i obszernych wiadomości pan Bazyli — fiu! fiu!...

— Jakby do czego przyszło, to dalibóg żeby zakasował niejednego sztudera miastowego!... dodawał z pilną wiarą i pewnością niezachwianą.

— Bo to panie jak rozpuści język i jak ci zacnie sypać po łacińsku!... to nie żarty!... jakby dyrektor jaki!...

I chcąc niechcąc musiałeś uwierzyć zacnemu panu Osiadaczowi, boby cię uznał za nieuka, nieobeznanego z językami, kilku słowami osądziłby ciebie za takiego, który na niczem się nie rozumie, a prawdziwej wartości ocenić nie umie!...

— Co to panie gadać!... — mawiał — łacina to nie parastas, albo co!... Posłuchajcie ino tego hamdynera, jak to on tęgo trzepie!... nieprzymierzając jak gdyby sobie całą miską klusek hreczanych gębę wysmarował!...

Po tak dokładnych objaśnieniach trudno było dalej powątpiewać.

Podobnie więc i dziś pan Bazyli przejęty łaciną pana *Petra Eisenbarta* przy trzecim kieliszku wódeczki przypomniał sobie używane tak często przez szanownego „hamdynera“ praktyczne przysłowie łacińskie.

— *Omnis tryni prefectum!*... powtórzył więc pan Osiadacz oblizując się szeroko — tylko tam z tej długiej, tabaczkowej buteleczki!... widzicie panie arendarzu!... stoi wyraźnie napisane: kornbrandwein, żytniówka!... i mlasnął dowcipnie językiem.

Po sporej porcyi żytniego specyału miłe ciepło rozeszło się po ciele pana Osiadacza. Zapaliwszy potem fajkę siadł między chłopami i wdał się z nimi w rozmowę.

Treścią jej były wypadki polityczne. Zacny ekonom mówił o powstaniu. A gdy kolejno przyszedł do niedawno poruszonej przez niego kwestyi, która go w tak kwaśny humor wprawiła, skrzywił się i splunął gniewnie.

— Po co to chamom bratać się z panami!.. krzyknął uderzywszy pięścią o stół, aż się szyby w oknach zatrzęśły — kołysz muzyk, to sedi w chati, a z panom ne riwnaj sia!.., dokończył po rusku dla dokładniejszego wyjaśnienia rzeczy.

Cichy szmer rozszedł się po szynkowni...

Równocześnie przytłumiony śmiech szyderstwa ozwał się z kąta izby...

Był to śmiech starego Fedorego...

Ekonom go nie słyszał, bo po trzech sporych kieliszkach wódki zakręciła mu się głowa...

Po chwili z izby szynkowej wychodzili licznie zgromadzeni goście. Pan Bazyli poszedł do dworu. Po drodze rozmyślał, jakie wrażenie uczynić mogły na zgromadzonych włościanach jego nauki..

Z starym Fedorem szedł Semenکو.

Fedor rozpowiadał mu o wielu, wielu ciekawych rzeczach, o których musiał zamilczeć w karczmie. Semenکو słuchał go z biciem serca, ścisnął rękę siwego dziada, i czuł, jak mu serce młotem uderzało w gorącej piersi.

— Szczęść Boże!.. szczęść Boże!.. szeptali obaj, a i Fedory, i Semenکو mieli łzy w oczach.

Noc była śliczna. Niebo wyiskrzyło się gwiazdami, biała droga mleczna szeroką strugą rozlała się po horyzoncie. Śnieg grubą warstwą okrywał ziemię, i ściskany mrozem połyskiwał światłem brylantów.

Nasi dwaj znajomi doszedłszy do krzyża za wsią stanęli. Stary Fedory odchodząc znowu na jakiś czas w nieznajome strony, żegnał Semenka.

— Bóg z wami!... bywajcie zdrowi!... mówił młody syn gajowego ściskając serdecznie rękę starego dziada.

— A rychłóżże wróćcie do nas?... dodał z znaczącym spojrzeniem.

Fedory uśmiechnął się tajemniczo.

— Jeszcze nie znikną śniegi z pola, a z Bożą pomocą będę już między wami!... odrzekł, i uściskawszy jeszcze raz młodego chłopaka, pospieszył drożyną ku lasowi.

Śnieg skrzypiał pod nogami, a zimny, mroźny wiatr igrał z białymi włosami staruszka...

III.

Znowu romansowe strony powieści.

Tymczasem Semenکو skręcił ku znanej nam chałupie na piaskach. Doszedłszy do drzwi stanął i zaparł dech w sobie, jak gdyby coś podsłuchiwał. Po chwili podsunął się trochę bliżej. W oknach było ciemno.

Semenکو przytknął twarz do szyby, i pukając lekko szepnął przytłumionym głosem:

— Naściu!... —

Po kilku słabych uderzeniach o szybę niskie drzwi chaty skrzyknęły, i po chwili ukazała się w nich smukła postać niewieścia. Była to dobrze nam znajoma wnuczka Antoszczychy.

— Semenکو!... szepnęła ze drżeniem dziewczyna, i zmieszana okryła sobie szyję chusteczką..

Piękną była teraz nasza sielska heroina. Xiężyc blado oświecał jej twarz przeciąglą; ciemne oczy lyskały tajemniczym ogniem, a jasne warkoczce włosów wijąc się w nieładzie po białej szyji dodawały jej uroku.

Toż nie bez przyczyny młody syn leśnego ujrzawszy teraz swoją bogdanę, nie mógł się na nią napatrzeć..

Czytelniku łaskawy!... jeżeliś już nie młody, a włos twój niegdyś piękny i lśniący, dzisiaj przyprószyła siwizna, jeżeli pamiętasz chwile młodości twojej, i na wspomnienie ich uśmiechasz się jak słońce wrześnie — powiedz mi — ale tak szczerze, otwarcie, czyś nie był choć raz w życiu w podobnej kolizji sercowej?...

Jeżeliś jest obywatelem wiejskim, z dobrze podpasionym brzuszkiem i jeszcze lepiej zafutrowaną kabzą, jeżeli cieszysz się zacną połowicą i liczną konzolacją, odpowiesz mi uśmiechając się dobrodusznie:

— Co też to tam acanu po głowie nie lata!... mości dobrodzieju!... człeku już z pamięci wypadły te głupstwa, i nie łąco sobie przypomni, jak to się niegdyś w Buczaczu u OO. Bazylianów ślepiąc nad Alwarem o figlarnych oczkach marzyło!... teraz już inaczej!... ciężkie czasy, ciężkie czasy!... mości dobrodzieju!...

Gdybym się jednak przypadkowo omylił i w czytelniku moim c. k. urzędnika z buchhalteryi poznał, usłyszałbym zapewne:

— Miłe to wspomnienia!... zacny panie powieściopisarzu!... bardzo miłe!... kiedy to się po dziesięć razy dziennie na Łyczaków latało, by choć raz zobaczyć w okienku niebieskie oczęta, co się tak cudnie uśmiechać umiały!... Ale teraz to wszystko wywietrzało z głowy!... urząd, panie łaskawy, urząd a nie oczka teraz w głowie!... Ot!... pójdźmy lepiej do Stadtmüllera na piwko!...

Gospodarz więc i c. k. buchhalterzysta nie dali biednemu powieściarzowi zbyt długo bujać w ideałach. Uczony

na podobne pytanie zarumienilby się po uszy, stary kawaler uczułby się obrażonym, a dewot przeżegnałby mnie trzy razy i odesłał do kościoła OO. Jezuitów ku zbudowaniu zbłąkanej duszyczki...

A tyż teraz czytelniczko łaskawa!... jeżeliś już także nie młoda i włos twój niegdyś kruczy dzisiaj przypruszyła siwizna, jeżeli pamiętasz chwile młodości twojej i na wspomnienie ich uśmiechasz się jak słońce wrześnie — powiedz mi — ale tak szczerze, otwarcie, czyś nie była choć raz w życiu także w podobnej kolizyi sercowej?...

Jeżeliś starą panną, w takim razie cofam zapytanie moje. Gotowaś się bowiem jeszcze na śmierć zagniewać na biednego powieściopisarza, a rumieniec, któryby w takim razie oblał przekwitłą twóją twarzyczkę, paliłby go i męczył jak ogień piekielne...

Jeżeli chadzasz często na niezpory do OO. Jezuitów, a po odspiewanych suplikacyach miewasz silną chrypkę, jeżeli idąc przez ulicę zakrywasz oblicze twoje gęstym, czarnym woalem, ażeby żaden wzrok zbyt śmiały nie osiadł na pobożnej twój twarzy, jeżeli nareszcie na odwrócenie szatańskich pokus codziennie rano, w południe i wieczór odmawiasz modlitwę do św. Magdaleny, a na noc odczytujesz dla nauki i obrzydzenia świata historję o czystej Zuzannie między starcami — w takim razie biedny powieściopisarz cofa znowu zapytanie swoje, bo niechce mieć na sumieniu o jedne zbłąkane niewiniątko więcej!...

Jeżeliś jednak już mężatką i cieszysz się całym grobem małych bobaczków, jedyną pociechą uradowanego tatusia, jeżeli masz poczciwego mężulka, który oprócz ulubionego wiścika w kółku domowym, do gier kawiarnianych

pociągu nie czuje, gdy więc twoje dziateczki w istocie są jedyną jego pociechą — wtenczas wyznasz mi szczerze i bez zarumienienia się, żeś kochała, a chwile te liczysz do najpiękniejszych wspomnień młodości!...

Miłość więc, to jedna z niezbędnych stron powieści.

W naszym opowiadaniu Semenکو kochał Naścię, i jak pięknym czytelniczkom wiadomo, był także nawzajem kochany. Czy miłość ich była tego rodzaju, o której mówi nasz Juliusz:

Czyście żegnali? klęczeli? włos rwali?
 Tracili ducha, wymowę, kolory?
 Z paszportem pugilares? i tak dalej —
 Czy przysięgaliście jako upiory
 Wrócić po śmierci, przy księżycu biali?
 Łopotać w okno czarnem skrzydłem zmory?
 Kochankę swoją w noc przedślubną napaść,
 Unieść na koniu i w ziemię się zapaść!..

— tego nie powiemy, dość, że jak zawsze, tak i dziś szedłszy się razem serca ich młode były podwójnie...

Semenکو opowiadał Nastusi wszystko, co tylko zasłyszał od starego Fedorego. Mówił, że między walczącą młodzieżą znajduje się wiele włościń, a na wspomnienie dzielnego Langiewicza rumieniec uniesienia oblał jego twarz...

Długo jeszcze potem rozmawiała ze sobą młoda nasza para. Kilka dni już upłynęło, jak się nie widzieli, a kilka dni dla zakochanych to bardzo wiele. Semenکو opowiadał o sobie, a Nastusia o sobie, o swojej doli smutnej i o niedobrej babuni. Mówili także o paniczu ze dworu. Semenکو pamiętny może trochę niemiłego owego spotkania pod krzyżem, z wstrętem go wspomniał. Nastusia się go bała.

— On taki jakiś straszny!... mówiła tuląc się ze drzeniem do piersi Semenka — choć miło patrzy, i taki niby czasem dobry!...

— Sama nie wiem, czemu ja się go tak boję!... dawała z dziecięcą naiwnością.

Późno już było gdy się rozeszli. Gwiazdy poczynały gasnąć, a na wschodzie gęsto nagromadzone chmury rozjaśniały się powoli...

IV.

Dwór w Nadbużu.

Wśród jednostajnych lesistych okolic Żółkiewskiego otoczone zewsząd jakby murem lasami sosnowemi, rozłożyły się na niewielkiej równinie chaty wioski Nadbuża.

Smutna to tam okolica. Jak daleko rzucisz okiem, wszędzie lasy i lasy, długim sznurem ciągnące się od Stanisławczyka i Łopatyua aż za drugi brzeg źródeł Bugu, ku Rawie... Tu i tam porozrzucane siola jakby siostrzyce do siebie podobne. Chaty po największej części wygodne, obszerne i zewnątrz i wewnątrz dobrze wyglądają, bo okolica lasowa, drzewa dość, a lud tamtejszy przywykły do siekiery, zręczny, i nadewszystko przekładający czystość i porządek około zagrody i w chacie. Toż gdy wjedziesz w tamte strony, choć lasem i lasem, aż cię ta podróż znuży, na widok siół tamtejszych serce się rozraduje. Każda chałupa parkanem z tarcic ogrodzona, wrota wygodne, na podwórku czysto, a chata obszerna i wygodna, czyściutko

wybielona, a naokoło zabudowania gospodarskie. Szeroka stodoła, obok niej stajenka, dalej obora i chlewnik, a w tyle chaty sadek i pasieka.

Każde sioło ma swoją cerkiew, co trzema kopułkami wygląda z pomiędzy gromadki chałup. Nie daleko od niej chyli się dzwonnica. Cerkiew ocieniają stare cieniste lipy, a pszczołki z księżego sadku czerpią z ich kwiatu podobnym słodczy... Stara dzwonnica to zwykle miejsce zabaw dla małych dziewcząt i chłopaków wiejskich. U stóp jej na murawie przepędzają dzieciaki całe dnie, a gdy niedzielne słońko zaświta, z jakąż radością biegną one wtenczas do sznurów, by jak najgłośniej przedzwonić jutrznię!... Srebrny głos dzwonu szeroko razchodzi się po siole, a echo niesie

— — — dźwięk czysty,
Po dolinie rosistej...

— — — — —
Ze mgły wychodzą gaje,
Dalekie świata kraje,
Cały świat Boży wstaje...

— — — — —

Z pomiędzy chat i chatek, zielonych ogródków i sadów widno bielejące się kominy dworu. A dwory tamte i dworki jakże podobne do siebie!.. Jak wszystkie dworki szlacheckie, rozsiane po naszej ziemi, a którychbyś już nie naliczył!.. Każden z gankiem na przodzie, i z białymi, wiecznie dymiącymi się kominami u dachu, z zielonym sadkiem na tyle, i bramą na dziedzińcu, co wiecznie dla gości otwarta, zapadła się i wrosła już w ziemię!..

Do takiego rodzaju dworków, należał i dwór w Nadbużu. W samym środku wsi, pomiędzy chatami i stodołami rozsiadły, wcale się on nad nie nie wynosił. — Owszem, —

z całego otoczenia i urządzenia jego można było wnosić, iż całkiem mu tam było dobrze, bo rad jakoś spoglądał na skromne swe towarzyszek, ubogie, słomą okryte, jednak białe i czyste chaty... Zdawało się, iż mieszkańcy dworu w Nadbużu wcale nie myśleli odróżniać się i stronić od tego, dla wielu jeszcze naszych panów niemiłego sąsiedztwa. Gdy wiele dworów, osiadłych gdzieś na końcach sioła, zdala od chat chłopskich, dumnie na nie z swojej wysokości spogląda, dwór w Nadbużu jakby ojciec rodziny rozsiadł się we środku sioła...

Domostwo to nie uderzało wcale wykwintnem urządzeniem zewnątrz lub wewnątrz. Dwór położony był czołem ku południowi. Niewielki, miłuchny ganek spoczywał na czterech białych słupach, dach od deszczów i śniegów zczerniał, przekrzywił się trochę na bok, gdzieniegdzie pozakwitał zielonawą pleśnią.

Obok stała oficyna. Dalej zabudowania gospodarskie. W tyle zieleniał szeroki ogród. Stare lipy rozsiewały tam przecudne wonie, jabłoń i grusza chyliły się pod ciężarem owocu, gdzieniegdzie ujrzałeś skrytą chmielową altankę lub grotkę, dalej znowu darniowe siedzenie pod brzożami lub chłodny cień w aleach lipowych...

Ogród sąsiedował z chatami i stodołami sioła. Najbliżej stała szkółka. Budynek ten czysto pobielony, świeżą słomą posyty, miłutko wyglądał zewnątrz i wewnątrz. — Nad dachem rozrastała się lipa, z bocianiem gniazdem u wierzchołka.

Tak to był otoczony dwór w Nadbużu. Chociaż nie tam nie było wykwintnego, nie nowego, nie bardziej uderzającego, a przecież taki jakiś miły, nieokreślony urok obwiewał całe to ogrodzenie, takie sympatyczne, miłuchne

ciepło wiało z starych pleśnią porośłych i w ziemię osiadłych ścian tego dworku!... A jakżesz pięknym był ten ogród stary, te długie, cieniste aleje lipowe, jakże miłą chmielowa altanka, i darniowe kanapki pod białymi brzoźkami!... Jakżeż uroczy widoczek sprawiała czysto ogrodzona szkółka, z szumiącą lipą nad dachem, a jakże miły był klekot bociana, który co wieczora wracając do gniazda, na wierzchołku starej lipy, cichym pacierzem usypiał swoje pisklęta!...

Wrażenie to błogie, niewysłowione, sprawiał na mnie tylko widok starych takich, poczciwych naszych dworków. Dla czego je widok pałaców, willi, i parków anglezowanych nie mógł we mnie obudzić, nie wiem. Snać poczciwe te nasze rodzinne, pokulone dworki, których tak już mało, i coraz to mniej na naszej polskiej ziemi!...

Ale wracajmy do toku opowiadania.

Właścicielem Nadbuża i mieszkańcem dworku, który tak miłe sprawiał na nas wrażenie, był pan Tadeusz Konstanty dwojga imion Strumień, szlachcic około sześćdziesięciu lat, o rumianem obliczu, o dobrej tuszy, i pełnej kalcie, a co najważniejsza, o zacnem, poczciwem sercu i szlachetnych, wcale nie starszszlacheckich dążnościach. Był synem zacnych rodziców rodem z Kongresówki, gdzie się wychował i pierwsze nauki odebrał. Wykształcenie jego nie było wykwintne. Matka wlała w serce jego miłość Boga, ojczyzny i braci, ojciec opowiadaniem o dawnej świetności rodzinnej ziemi rozbudzał duszę jego do szlachetnych ogni, zresztą w szkole nabył trochę wprawy w łacinie, z innemi zaś naukami obznajomił się więcej powierzchownie. Rok 1831 znalazł go pomiędzy narodowymi szeregami. Pan Tadeusz był w swoim żywiole.

— Co to panie do kroć tysięcy beczek i furgonów!... — mawiał z ogniem i żywością wrodzoną już sobie — nie sztuka między papierami jak mól lata przesiedzieć, ale niechaj no mi wasze na otwarte pole wystąpi!... A pokaże się, że łatwiej pono piórem niż mieczem szermierzyć!... do kroć tysięcy beczek i furgonów!... bo tu o własną panie idzie skórę!... I poczciwy pan Strumień bił się jak lew, a pod Boremlem po dokazanych cudach waleczności, otrzymał w nagrodę rangę kapitana...

Z upadkiem kampanji, gdy oddział Dwernickiego zmuszonym był przekroczyć granice Galicyi, on znajdował się tam także. Smutna, okropna była to wtenczas chwila, gdy kilka tysięcy dzielnego żołnierza narodowego składając broń, tracić musiało tyle pięknych nadzieji, które przed niedawnem tak wielkie już rozmiary przybierały!...

Pan Tadeusz płakał jak bóbr gdy mu przyszło odpasać od boku starą, poczciwą swoją augustówkę, pamiątkę rodzinną, jeszcze po dziadku, gdy trzeba było zleść z ukochanego siwka, co go przez całą kampanię dźwigał, i głosu swego pana jak żaden inny może nie rozumiał!...

— Chwila ta pozostała mi pamiętną na całe życie!... powtarzał potem nieraz zacny kapitan ocierając łzy, co mu wtenczas gęsto skrapiały białe, szerokie, prawdziwie żołnierskie wąsy...

Pan Tadeusz więc, znalazłszy się naraz w Galicyi wśród ludzi zupełnie mu obcych, nie wiedział zrazu co począć. Rodzice poumierali, wieś, która mu po nich została w Kongresówce, zabrali Moskale, i tak pan kapitan pozostał sam, bez nikogo, z kilku tylko setkami dukatów w skórzanym worku zaszytych, z którymi go stary ojciec na wojaczkę wyprawił. Jakby na szczęście, pan Tadeusz,

mając trochę w kalecie grosza na opędzenie kosztów więcej prawie jak całoletniej swojej żołnierki, nie naruszył poruczonej mu od ojca sumki. Teraz więc jak gdyby ją znalazł. Pojechał do Lwowa, porobił znajomości, i po kilku miesiącach pokręciwszy się tu i ówdzie wziął w dzierzawę wioseczkę w Żółkiewskiem, właśnie dopiero co przez nas opisane Nadbuże, które po kilkunastu latach pracy i skromnego życia na własność nabył. W parę lat po wzięciu dzierzawy ożenił się z urodziwą panienką z sąsiedztwa, córką zacnego domu i niepośledniej fortuny. Odtąd poczciwy pan kapitan cały prawie utonął w szczęściu domowego pożycia. W kilka lat obdarował go Bóg córeczką, a radość zacnego pana Tadeusza nie miała wtenczas granic. Żona kochała go całym sercem, szanując w nim poczciwego męża i ojca, — a maleńka Jadwisia, wzrastając zdrowo na pocięchę obojga rodziców w pierwszym już roczku uśmiechała się jak aniołek do uradowanego ojca, i szczebiocząc figlarnie: Tata!... — bawiła się długimi jego wąsami..

V.

„Najpiękniejsza.“

Dziś jednak miała już córka pana kapitana lat dziewiętnaście, czarny kruczony włos w gęste spleciony warkocze cudnie odbijał od marmurowej bieli wyniosłego czołka, piękne, wąskie brwi ocieniały ciemne szafiry oczu. Nosek, chociaż nie zupełnie regularny, nie psuł jednak harmonii rysów całej twarzy. Piękne, różowe usta jaśniały wiosenną świeżością.

Była więc młodziutka bohaterka niniejszego rozdziału piękną, a jeżeli łaskawi czytelnicy zaufają słowu powieściopisarza, to przytem i tak pełna uroku i tej niedocieczonej nigdy może sympatyj spojżenia, która przyciągała serca wszystkich do siebie!...

Ale myśli może kto z czytelników moich, iż pragnę w rozdziale niniejszym stworzyć boginię piękności salonowej, heroinę romansową o głowie przepełnionej ramotami Sanda, Koka i Dumasa, a sercu — które tak łącznie ulega ognistym pociskom spojrzeń rozmarzonych adonisów? Myśli

więc może czytelnik iż heroina rozdziału niniejszego to typ, tyle już razy odegrzany w powieściach i powiasteczkach naszych i nienaszyc, który zakręca głowę tym, co najczęściej o jej istnieniu nie wiedzą?...

W takim razie wypadnie mi stanowczo zaprzeczyć.

W niejednym już opowiadaniu powieściopisarze nasi starali się utworzyć ideał polskiego dziewczęcia. Czyż brali sobie wtenczas wzór z kokiety, najdłuższe chwile spędzającej przed zwierciadłem? Czy może z panny, przekładającej nadewszystko towarzystwo mężczyzn, jeżdżenie konno, strzelanie z pistoletów itp.? albo może najlepszym wzorem im była kobieta, z zapalem prowadząca dysputy religijne i rozstrzygająca zawile kwestye filozoficzne?...

— Nie!... — odpowiesz mi nie bez figlarnego uśmiechu łaskawa czytelniczko!...

Jakaż więc, gdzie, i kiedy znajdziemy najpiękniejszą kobietę, ideał polskiego dziewczęcia?...

Pytanie to zadawałem sobie często, i pomimowoli wtenczas nasuwały mi się przed oczyma duszy mej wszystkie dopiero co wymienione rodzaje...

Ale żaden z tych obrazów nie pozostał mi w duszy...

Pomyślałem sobie wtenczas jeszcze raz:

Jakaż więc będzie najpiękniejsza dziewczyna?...

A w duszy mej ozwały się jakby na odpowiedź przedne, harmonijne dźwięki:

Najpiękniejsza dziewczyna, gdy przy matki kolanie
Wtórzy: Boże! o Boże! potem Panie! o Panie!
Zmiłujże się nad krajem, zmiłujże się nad krajem,
We łzach cichej modlitwy wciąż przed tobą się kajem.

— — — — —

Przytem Polka serdeczna, wierszy umie tysiące,
 W obraz ojca żołnierza zawsze patrzy jak słońce;
 Kiedyż, kiedyż z za góry, błysną nasze mundury,
 Kiedyż przyjdą z daleka Krakowiacy, Mazury:
 Szarpie będę skubała, chorągiewkę uszyję,
 I wydam się za tego, co Moskali

W naszym opowiadaniu podobną „najpiękniejszą“
 była Jadwisia...

Dziewczę to, wychowane starannie, pod okiem wykształconej matki i zacnego ojca, urosło jak kwiatek wdzięczny, skromniutki, z sercem kochającym ojczyznę, rodziców, i cały ten świat Boży, co w wiosnie życia wydawał się jej najpiękniejszym...

A choć tak małym, skromnym był cały ten światek, co ją otaczał, młodziuchna córeczka starego rotmistrza nie tęskniła ani marzyła o innych, bo jej przy łonie matki, między ukochanymi ścianami rodzinnego dworku, było tak dobrze, tak jakoś swojsko i miło, jakby nigdzie!...

Nasza Jadwisia więc w dziewiętnastej wiosnie życia nie zamarzyła jeszcze o niczem. Jej tak dobrze było z rodzicami — ona tak kochała rodzinny swój kątek, poczciwą czeladkę, i swoich włościan!...

Najmilszem jej zatrudnieniem było uczenie dziewczątek wiejskich w szkółce. Tamto większą prawie połowę dnia przesiadywała, obznajamiając młode dziewczęta z historią ojczyzną, czytając przystępne powiastki i opowiadania, a oprócz tego ucząc robótek ręcznych, w których nadzwyczaj drobniutkie jej paluszki zręcznymi były...

Takto przepędzając dni na wsi, po młodziuchnej główce nie przeleciała myśl o zabawach stolicy, eleganckich strojach, balach, itp...

W wolnych od uczenia chwilach przesiadywała Jadwisia przy matce, zatrudniona zwykle jakąś robotką ręczną...

W zimie wiele czasu poświęcała książkom, naszemu nieśmiertelnemu Adamowi, Kraszewskiemu, Korzeniowskiemu, czytała Lelewela, Szajnochę, a w weselszych chwilach siadywała do fortepianu, do ulubionych mazurków Chopina i precudnych sonat Bethoveenowskich!...

Na wiosnę ciche Nadbuże odżywało po zimowej ciszy. Ogród się rozzieleniał i cały prawie woniał kwiatami, które rączka pracowitej Jadwisi po kłębikach porozsiewała. Trojskliwe dziewczątko przez całe lato pielęgnowało ukochane swoje kwiateczki, pieściło się z białą lewkonią i goździkami, oczyszczało z zarosli rezedę i różnobarwne balsaminki, podlewało małą swoją koneweczką gęste krzaki różowych drummondów, co chyliły spieczone swe główki przed skwarem słońca..

Ogródek więc był najmilszą rozrywką letnią naszego dziewczęcia wiejskiego.

Zacny pan kapitan z rozjaśnionem od szczęścia obliczem spoglądał na ukochane swoje a tak szczęśliwe teraz dziecko — a łzy radości, co mu nieraz pociekły na białe jak śnieg wąsy, bywały najserdeczniejszą bo niemą oznaką prawdziwej podziękii i miłości, jaką czuł za to dla ukochanej swej małżonki...

VI.

M e t a m o r f o z y.

Po krwawych dniach zimowych 1863 roku zawitała wiosna. W Nadbużu ożywiło się teraz nadzwyczaj. Jak czytelnikowi bowiem wiadomo, Nadbuże leżąc w północnej stronie Żółkiewskiego graniczyło z Wołyniem.

W okolicach więc tamtych ściągały się gromadki ochotników do oddziałów powstańczych, które po kilka razy przekraczały tam granicę. Nadbuże było jednym z najgłośniejszych zbiorowisk takich. Pan rotmistrz był gościnnym, lubiał męskie towarzystwo, wesołość i młodych wiarusów, pani Strumieniowa nie szczędziła zasobów obfitej swojej spiżarki, więc brama dworska stała ciągle otwarta, serdecznie wabiąc i zapraszając młodych ochotników, co się po okolicznych dworach i miasteczkach tułali..

Obszerna dworska oficynka mieściła do dwudziestu różnego stanu ludzi. Byli tam między nimi studenci, synowie gospodarzy, mieszczanie, rzemieślnicy, włościanie,

słowem, każda taka gromadka mieściła w sobie ludzi wszelkiego fachu i zatrudnienia.

Pan Tadeusz gościom swoim dogadzał we wszystkim, i sam najczęściej cały dzień i wieczór w wesolem ich towarzystwie przepędzał, wspominając sobie nieraz dawne lata młode!...

Gdy się na takiej kwaterze wiejskiej dobrało grono chłopaków, to już byś chyba z kamienia był, gdybyś się z nimi kapitalnie nie uśmieł, nie zabawił i nie naweselił!...

Cały dzień zwykle przepędzano tam na pogadankach wśród kłębów sygarowego i fajczarnego dymu, który zacieśniał prawie całą izdebkę...

Wesołe dysputy w pokoju przerywano spacerem, kiedy cała gromadka rojem wysypywała się na ogród, a czasem i za wieś, gdzie odbywano strzeanie do tarczy, jeżdżono konno, itp...

Wieczory spędzali ochotnicy nasi we dworze. Pan rotmistrz razem z gośćmi weselił się i bawił kapitalnie, czasem przyjeżdżał ktoś z sąsiedztwa, więc zaraz coś nowego, jakieś świeże wiadomości, ztąd zapal, dysputy i śpiewy.

Miło było posłuchać gdy przy dźwięku fortepianu chórem odspiewywaną pieśń:

Bracia rocznica!.. więc po zwyczaju itd.

albo:

Zgasły nam już nadziei promienie,
Ni zorza nie świeci nam błada...

Wtenczas na twarzach wszystkich odbijała się jedna wzniosła myśl, każde spojrzzenie pełne wesołości, serca

młodzieńcze czy zgrzybiałe były równie głośno, gwałtownie, jakby je coś z piersi wypierało!...

Przedmiotem ubóstwiania wszystkich była nasza Jadwisia. Biedacy pod niebiosą wynosili jej współczucie, litość i niezmordowaną gotowość w niesieniu pomocy i wsparcia, inni wychwalali jej skromność, zalety serca, i wykształcenie umysłowe, a znalazł się tam niejeden, co kryjąc w głębi serca strzeliste swoje affekta, wzdychał samowolnie do ciemnych oczek prześlicznej córki rotmistrza...

Tak więc było we dworze Nadbużańskim, i tak tam stały rzeczy, gdy pewnego pięknego wiosennego wieczoru w bramie wjazdowej ukazała się dzielna czwórka szpaków z krakowska przystrojonych, i zgrabny wózek, na którym młody, nie więcej jak dwudziesto i kilka letni siedział podróżny.

Dzielny krakus, zajeżdżając przed ganek dworu, odwinął biczysko i palną trzy razy jak z pistoletu nad głowami rozognionej czwórki.

Drzwi sieni się otwarły i wyszedł służący.

— Jest pan? — zapytał podróżny z powozu

— Jest! odparł z ukłonem sluga...

Na te słowa nasz podróżny zeskoczył ze stopni wózka i przeszedłszy ganek i sienie zatrzymał się w małym, gustownie urządzonym saloniku.

— Jak mam powiedzieć?... zapytał służący odchodząc do kancelaryi pana kapitana.

— Kazimierz Zarębski!... odrzekł podróżny zrzucając z siebie suknie.

— Pan Kazimierz!., zawoła z zdziwieniem czytelnik poznawszy w nieznanym dotąd podróżnym młodego panna z Potoków...

Tak jest — był to w istocie znajomy nam dobrze syn śp. państwa Felixów.

Z wybuchem powstania rzucił się on także, jak wielu innych, do agitowania. Właśnie natenczas z nadchodzącą wiosną wyruszały oddziały ochotników za kordon, więc w znanej nam okolicy wrzało i gotowało się jak w garnku. Pan Kazimierz był jednym z komisarzy tych wypraw.

Czytelnicy zechcą sobie przypomnieć ostatnie zdarzenia w pierwszej części powieści naszej opisane, w których młody syn zmarłej już wtenczas pani Modesty bujał swobodnie wśród rodzinnej wioski, zapędzając się nieraz niestety na bezdroża...

Było to skutkiem wychowania. Pan Kazimierz latał za Nastusią, jakiś dziwny szal, który nigdy nie nazwałibyśmy miłością, opanował go wtenczas, przed oczyma migła mu się wiecznie biała, przeciągła twarzyczka o jasnych włoskach i czarnych oczach, a w duszy całą pełnią wrzała nienawiść, i niczem może niewytłumaczony gniew ku młodemu synowi Hrehorego, który oddawna już kochał jasnowłosą wnuczkę niedobrej Antoszczychy..

Właśnie w tym czasie jakoś wybuchło powstanie za kordonem.

Młody syn państwa Zarebskich zapomniał prawie o wszystkim, oddawszy się już tylko jednej myśli.

Jeździł po wsiach i dworach, zbierał ochotników,

robił ciągle przygotowania do bliskiej wyprawy, i wśród takich to zajęć, wypadła mu droga do dworu w Nadbużu.

Pan Kazimierz był tam zupełnie nieznanym. W tej chwili siedział on w gościnnym saloniku na fotelu — oczekiwał nadejścia gospodarza domu. Tymczasem oglądał nader gustowne urządzenie pokoju. Na ścianach ciemno otapetowanych wisiały piękne litografie krakowskiego towarzystwa przyjaciół sztuk pięknych, gdzieś widać było olejne malowidła i piękne akwarele. Pod portrecikami Bethoveena, Mozarta i Haydena stał zgrabny fortepianik wiedeński, a na nim kilka w nieładzie rozrzuconych mazurków Chopina.

Niedługo czekał pan Kazimierz.

W kilka chwil wszedł pan rotmistrz z otwartą rękoma na przyjęcie gościa, i choć go jeszcze nie znał, już wołał:

— Gość w dom, Bóg w dom!... Jakżeż mam powitać szanownego pana?!...

— Kazimierz Zarębski!... — przedstawił się nasz bohater, omal się nie skrzywiwszy od kordjalnego uścisku żylastej ręki pana rotmistrza.

— A!... zawołał uradowany gospodarz — synowiec nieboszczyka Franciszka Zarębskiego?...

— Tak jest!...

— Tak!... a taż to my panie dobrodzieju z Franiem razem kolegowaliśmy!... mówił z rozradowanem obliczem pan Tadeusz, sadowiąc swego gościa na kanapie — tak jest!... kolegowaliśmy do kroć tysięcy beczek i furgonów!... na ławie szkolnej, i w wojaczce!...

— Jakże mi miło!... niewymownie!... — bąkał zmieszany trochę pan Kazimierz tak obcesowem przyjęciem pocziwego rotmistrza.

— A jakże!... a jakże!... powtarzał ciągle tenże niemogąc się swoim gościem nacieszyć — pocziwy Franuś!... nie żyje już!... kula armatnia rozerwała go przy mnie na ćwierci!... do kroć tysięcy beczek i furgonów!... I zacny pan Tadeusz otarł łzę co mu się gwałtem do oczu cisnęła...

— A ojciec pański żyje chwała Bogu?... zapytał po chwili.

— Nie!... ani ojciec ani matka!... --

— Więc z całej rodziny Zarębskich pan jeden tylko zostałeś!... A Stanisław, najstarszy brat ojca pańskiego?...

— Także nie żyje!... Umarł dawno już na Sybirze!...

— Więc pan nikogo już tu nie masz!... ani żywej duszy!... pytał rozczulając się pocziwy kapitanisko.

— Nikogo!... odparł dziwnie się uśmiechając pan Kazimierz — jak gdyby nie mógł dobrze zrozumieć zapytania.

— Biedny chłopcze!... zawołał rozczulony, rotmistrz otwierając ramiona — niechże cię uściskam!...

I byliby się tak ściskali i rozmawiali Bóg wie jak długo, gdyby nie służący, który wszedłszy do pokoju oznajmił, iż panie oczekują z herbatą.

Pan Tadeusz więc, ujawszy pod ramię młodego swego gościa, prowadził go do pokojów żony:

Przed stoliczką zastawioną przyborami do herbaty, siedziała pani Strumieniowa z znaną nam już z opisaną córeczką Jadwisią.

Była to kobieta około pięćdziesięciu lat, otyła, o twarzy przeciągłej, poważnej i czarnych, dawniej kruczonych włosach, które poczynały się już trochę przypruszać siwiźnie. Wyraz twarzy łagodny i oko piękne, spokojne nadawały matce naszej Jadwisi nadzwyczaj wiele sympatji.

Pan kapitan wszedłszy z swoim towarzyszem do saloniku, zawołał głośno :

— Przedstawiam wam, moje szanowne panie, synowca największego mego przyjaciela z lat młodocianych, pana Kazimierza Zarębskiego !...

A zwróciwszy się do pana Kazimierza :

— Moja żona — córka !...

Następowały ukłony.

— Niechże pan będzie łaskaw usiąść !... proszę pana !... — mówił kapitan podsuwając krzesło — czem możemy służyć ? herbatką ? a może kawą ?

Po zwykłych formach etykiety, gdy nasze towarzystwo usadowiło się już koło stoliczka, zaczęła się żywsza rozmowa.

Mówiono o różnych rzeczach. Z razu jak to zwykle w takich okolicznościach bywa, o pogodzie, potem dyskurs przeszedł na pole polityczne, i pomału nasze towarzystwo traciło nieznośne więzy światowej etykiety, która oddechem swoim mrozi wszystko...

Pan Kazimierz bawił się doskonale. Mało bardzo jadł, i podczas rozmowy częściej rzucał ukośnym wzrokiem

na ciemnowłosą Jadwisię, która, przy słabem świetle lampy, w skromnem ubraniu ślicznie wyglądała.

Wieczorem około jedynastej dopiero rozeszło się nasze towarzystwo. Pan Kazimierz pożegnał panią Strumieniową i córkę, i uściskawszy poczciwego kapitana udał się do gościnnego saloniku na spoczynek.

Przebrawszy się zgasił świecę; lecz napróżno silił się do snu. Jakieś mary snuły się mu przez całą noc przed oczyma. Przewracał się jak w gorączce po wygodnem łóżku, i sam się sobie dziwił.

Nad ranem dopiero skleiły się mu oczy. Snął mu się pokoił pani Strumieniowej, i czarnowłosa Jadwisia...

Na drugi dzień rano już słońce wysoko było na niebie, gdy nasz bohater przecierał oczy ze snu. Głowa jego zdawała się być napełnioną dziwnymi, gorączkowemi marami, które go przez noc trapiły. Snęły mu się Potoki i jasnowłosa Nastusia i Semenko z zawistnem spojrzeniem... Powoli jednak zdawało to wszystko niknąć i usuwać przed czemś jaśniejszem...

Obrazy te osłaniała coraz to gęstsza mgła, i wkrótce wszystko usunęło się przed świeżem widziadłem... Z głębi duszy naszego bohatera poczęła się wyłaniać jakaś ciemna, trochę smutna postać młodej dziewczyny, o ciemnych włosach i cudnym szafirowym, trochę przymglonym wzroku...

...Była to Jadwisia.

Pan Kazimierz obudziwszy się zaczął rozmyślać nad swojemi snami. Gdy ostatnie widzenie stanęło mu przed oczyma, pomimo woli zarumienił się.

Uczuł jakieś dziwne gorąco, rozlane po całej twarzy i dziwił się...

— Co to jest?... pytał się sam siebie i spoglądał myślą na dno duszy.

A ztamtąd co raz to widoczniej wylania się smutna, zamyślona twarzyczka młodej córki pana kapitana...

Pan Kazimierz bawił w Nadbużu dłuższy czas. Poczciwy rotmistrz pokochał go jak swego, i cały dzień prawie męczył gadulstwem, wspomnieniami młodości i opowiadaniem epizodów z wojaczki. Po obiedzie siadał z nim do warcabnicy, wieczorami przy fajeczce i kominku gawędził o polityce...

Tymczasem pan Kazimierz ani myślał ztamtąd wyjeżdżać. Cekał zebrania się wyprawy, aby już z Nadbuża wyruszyć za kordon...

Czy go tam co może przyciągało?...

Zapewne!... domyśli się czytelnik.

Czasami, a lepiej powiem bardzo często szafirowe oczka przykuły już do siebie niejednego śmiałka, co z zuchwałą pewnością w zimno swojego serca spojrział w tajemnicze głębie tych precudnych zwodnic!...

Więc i nasz bohater uległ pod pociskami zdradliwego kupidyńka, który miotał swe strzały z szafirowych źrenic córki pana rotmistrza...

Nie było to wprawdzie wcale na czasie — ale dla młodego syna państwa Felixów było każdą miarą wielkiem dobrodziejstwem.

Jadwisia poznawała powoli stan jego umysłu. Widziała ona tam wiele przesądów, wiele zarozumiałości, a najwięcej tego, czego pomiędzy naszą „pańską“ młodzieżą — najwięcej znajdziemy — próżnię wielką pod względem wykształcenia, choć serce w gruncie dobre, poczciwe, tylko grubą powłoką ciemnoty salonowej okryte...

Przenikliwe jej serduszko odkryło w nim od razu miłość. Pan Kazimierz zresztą był chłopcem wcale przystojnym. Oczy niebieskie, ocienione były piękniemi, ciemniemi rzęsami, zgrabny wąsik dodawał twarzy jego wyrazu męskiego.

Więc młodziutka córka państwa Strumieniów, poznawszy w zakochanym chłopcu, dobre, poczciwe serce i popędy szlachetne, nie odtrącała go od siebie. Rozmowy starała się zawsze naprowadzić na przedmiot poważniejszy, mówiła z nim o ojczyźnie, o poświęceniu, o powołaniu mężczyzn i niewiast naszych, wypytywała się go o zdania w różnych kwestjach narodowych, a nieraz bywało że skrzywione wychowaniem zasady młodego syna państwa Felixów skierowała na drogę prawą...

Tak to więc przeważną rolę grała Jadwisia w życiu pana Kazimierza. Zdaje się, że jak gdyby od pierwszego dnia przepędnionego w Nadbużu, młodość jego zaczęła nową epokę. Dawny sposób życia, dawniejszy sposób zapatrywania się na świat i ludzi, wszystko dawne usunęło się i znikło jak mgła przed nowem, piękniejszym jakimś życiem, które utworzyła prawdziwa miłość...

Pan Kazimierz nie poznawał siebie...

Spojrzał myślą w przeszłość swoją, lecz rychło cofnął się ztamtąd...

On teraz żył terazniejszością, serce jego wrzało szlachetnym ogniem miłości ku Jadwisi...

Było to jego szczęściem, iż natrafił na takie zacne szlachetne dziewczę, które dostrzegłszy w nim pierwsze skierki miłości, nie zużyło ich bezowocnie...

Miłość więc zrobiła zeń zupełnie innego człowieka zmieniła go nie do poznania.

Było to w czerwcowej porze, gdy jeden z mniejszych oddziałów powstańczych miał przechodzić za kordon.

Wszystko było już przygotowane, naczelnicy ruchu, wyznaczyli miejsce głównego zboru, i tylko oczekiwano dnia, w którym, porozprasznani po dworach i miasteczkach ochotnicy, mieli się razem zebrać i wyruszyć...

Chwila ta nareszcie została oznaczoną —

W znajomych nam okolicach krzątano się i ruszano tajemniczo, po drogach prywatnych to leśnymi manowcami przemykały się powózki, dążąc ku ciemnej gęszczy borów, które oddzielały błogosławione krainy galilejskie, od zimnych okolic „*Bärenlandu!*...”

Miejsce, gdzie obóz powstańczy zbierał się, było w gęstej knieji zarosłej sośniną i bujnym zielskiem leśnym..

Tam to więc zdążali nasi ochotnicy...

A pomiędzy nimi był i nasz pan Kazimierz. Pożegnał Jadwisę, i jej rodziców i wyjechał z dworu Nadbużańskiego jakżeż inny i zmieniony...

Tych kilka tygodni, przepędzonych w domu rotmistrza zrobiło z niego innego człowieka!... W pierwszej części czytelnik widział Kazia, pieczoszka pani Modesty, i wychowanka głupiej francuzicy i zasmucił się nad jego przyszłością...

Później widział młodzieńca już dojrzałego, ale wśród manowców, na błędnych ścieżkach.

Dziś miłość szlachetnej kobiety zmieniła go zupełnie.

Daj Boże, aby mu się stała przewodnią gwiazdą i w dalszych drogach życia!...

VI.

Ludzie z chaty.

Tymczasem w Potokach z nadejściem wiosny nie wiele się zmieniło. Nie wiele, bo na wsi o wielkie zmiany trudno!... Życie wieśniaka nie nastęcza wiele przyczyn po temu. Od kolebki do deski trumiennej jednostajne, ciche, pracą chyba tylko, cichem szczęściem a częściej niedolą przeplecione mija powoli, a jedyne zmiany—to piętna czasu.. — Słusznie więc powiedział Karpiński witając się po wielu latach z domkiem swoim rodzinnym:

— — — — wszystko tak jak było,
Tylko się ku starości trochę pochyliło!...

W znajomej nam chacie na piaskach nic nowego nie zaszło. Stara babka Nastusi rozsmakowała w wonnej wódeczce i poddając się nałogowi, coraz to częściej zaczęła odwiedzać karcznię. Nawet i rzemiosło swoje rzuciła oddawszy się przyjemniejszej rozrywce. Przestała chodzić nocami po rozstajnych drogach, przestała zbierać zioła, warzyć

i zamawiać je, a natomiast większą część dnia i nocy przepędzała w karczmie...

Biedna więc Nastusia zarabiając na siebie i babunię, ledwie mogła kilka godzin w nocy znaleźć na spoczynek po całodziennych trudach...

Pracowita dziewczyna z błyskiem słońca spieszyła do dworu na robotę, i późno wieczorem wracała...

A gdy zostawała w chacie, to wrzeczono nie wypadało jej z ręki... I była to najszczęśliwsza chwila, gdy mogła się z kądziałą przy kominku, i snując nitki dumać, dumać, i dumać gdzieś bez końca...

Czasem cicha, smutna piosenka wyrwała się z młodej piersi, a często, i łza pociekła na fartuszek, a biedna dziewczyna musiała ją gdzieś w kącie pokryjomu otrzeć i kryć się z płaczem przed okiem niedobrej babuni...

A nieraz spadła na nią burza:

— Ha!... a cóż tam znowu nowego ty płaczkę przekłeta!... mruzczała wtenczas stara Antoszczycha dojrawszy ślady łez na twarzy wnuczki — już ci znowu coś w głowę wlało!...

— Nie!... babuniu!... — odpowiadało dziewczę ocierając fartuszką oczy — ot tak mi się coś wspomniało!...

W takich chwilach biedna Nastusia chciałaby się o trzy sąźnie pod ziemię zapaść. Nie mogła wytrzymać niedobrego wzroku babki, co tak palił i skrzył się jak węgle żarzące. Przed spojrzeniem uciekłaby gdzieś daleko — „na koniec świata“ — za oczy!... jak sobie myślała!...

Dziwna a przecież nie zmyślona rzecz, że w starej tej kobiecie znikły wszelkie uczucia, zakamieniało serce nawet dla własnej krwi swojej, dla rodzonej wnuczki! Ona oprócz nienawiści ku wszystkiemu, prócz dziwnej jakiejś

niczem niewytłumaczonej złośliwości ku żyjącemu światu nie czuła już nic. Był to kościotrup chodzący po ziemi. Bez serca, bez pozoru nawet szlachetniejszych uczuć utonęła jak nieszczęśliwy Prokop w strasznym nałogu. Tak to więc pijaństwo prowadziło nieszczęśliwą kobietę powoli ku przepaści!...

Gdy tak stały rzeczy w chałupce na piaskach, w wiosce samej tajemnicze jakieś działy się rozruchy...

Stary Fedor coraz to częściej zagaszczał do sióła, i już nie z lirą, ale z grubym, sękatem kosturem w ręku...

W karczmie rozpowiadano sobie o wypadkach za kordonem, o powstańcach i Langiewiczzu, jedni mówili tak a drudzy inaczej, ci kiwali obojętnie głowami, tamci znowu poszeptywali coś tajemniczo.

Semenka wpływom więc uległa większa część młodzieży w Potokach.

Semenko widując się z Nastusią rozpowiadał jej najczęściej o powstaniu. Mówił, iż niezadługo może przyjdzie czas i jemu wyruszyć za kordon...

Nastusia z razu nie chciała wierzyć.

— Ej gdzieby ty tam poszedł!... — mówiła — ty prosty chłop, a tam sami panowie się biją!... Jeszcze by cię nabili, taj wypędzili!..

Semenko się uśmiechnął.

— Toż ty byś mnie porzucił? i zostawił tak samą sierotę, bez nikogo na świecie?... pytała na wpół z płaszem dziewczyna tuląc się do piersi młodego chłopaka.

Semenko cisnął dziewczynę do łona i nie wiedział z razu, co odpowiedzieć. Wahał się. Żał mu się zrobiło

Nastusi, gdy pomyślał, że biedne dziewczę samo teraz zostanie, bez nikogo, bez żadnego cieplejszego serca na świecie — sierota...

— To już chyba zostanę.. —

Ale znalazł się jakiś głos, w głębi serca jego ukryty, który mu się wtenczas odezwał:

— Więc żal ci jednej dziewczyny!...

Semenko zarumienił się, a w chwili tej zrodziło się już w duszy jego niezachwiane postanowienie.

— Cicho... nie płacz moja doniu!... szepnął wyciskając gorący pocałunek na twarzy dziewczyny — Bóg patrzy na nas w tej chwili...

Nastusia płakała, bo żal serdeczny cisnął jej serce za Semenkiem. Biedna dziewczyna innych jak Semenka miała rodziców. Matka rychło ją odumarała, ojciec pijak, pamiętny plag ekonomskich, nie cierpiał „panów“, tj. wszystkich surdutowców, i umarł już taki... Stara babunia od dziecka wzrosła w nienawisci ku „Lachom“, bo ją tak uczyli rodzice, potem patrzyła się na nienajlepsze postępowanie dworów z chatami, a w roku czterdziestym szóstym była już zajadłą nieprzyjaciółką wszystkich, co tylko mówili po polsku i w białych dworach zamieszkiwali...

Nastusia od natury obdarzoną była dobrem łagodnym sercem. Dzieckiem jeszcze będąc bawiła się z młodym synem gajowego, a później przyjaźń ich dziecinna zawiązała się w miłość. Toż i uczucie jej i wyobrażenia, pod wpływem opowiadań Semenka, uszlachetniały się coraz bardziej, i to było jedyną przyczyną, iż ją stara Antoszczycha zniecierpiała.. Ona kochała swój ojczysty kątek, rodzinną wioskę, kochała ubogą swoją chatkę o słomianej strzesze, i za nic w świecie nie zamieniałaby się z tem wszystkim..

Świat po za obrębem rodzinnego siola był jej nieznanym, i tylko w zkazkach, bajdach i pieśniach na wieczornicach zimowych nasuwał się jej czasem przed oczy...

Wszystko to jednak było bardzo zamglone...

A Semenko cisnął ją do swojej piersi i szeptał:

— Nie płacz moja doniu... i nie smuć się... Jak powrócę, to się pobierzemy, wybudujemy sobie chatę, będziemy gospodarować, a wtenczas to już nic nas nie rozłączy!... —

Błada twarzyczka Nastusi rozjaśniła się na te słowa. Sliczną była w tej chwili z tym bladziutkim uśmiechem, rozlanym po obliczu, i ze łzami, które jak perły świeciły jej w oczach!...

Semenko tymczasem powtarzał:

— Tak!... wtenczas nic już naszego szczęścia nie zmieni!... nic i nikt!... żaden człowiek!...

— Chyba może wola Boża!... — szepnął ciszej.

Kochankowie więc nasi marzyli. Marzenia te jednak nie sięgały wysoko, po nad poziom życia... Kawałek ziemi, nie wielka chata i trochę cichego szczęścia w zgodzie i spokoju — oto i wszystko, czego dzisiaj pragnęli!... A czy spełnią się ich życzenia? — Przyszłość okaże. — A przyszłość ta, to wielka zwodnica. Uśmiecha się do wszystkich tak cudownie i obiecująco, w tęczowe barwy ustrojona, wabi, znęca i zawraca głowy nie jednym — a w końcu najczęściej zamiast róż odsłania — ciernie!...

VIII.

Stara Antoszczycha.

— Kłamiesz kochany arendarzu!... jakem Bazyli Osiadacz, kłamiesz!... — wołał barytonowym głosem pan ekonom dworu Potockiego, siódmym z kolei kieliszkiem anyżówki zakrapiając spragnione gardło.

— Szelma jestem, jeżeli ty prawdę mówisz!... dodawał z dobitnym gestem obu rąk, które jak piłki zwijały się koło nosa i uszu zacnego arendarza karczmy Potockiej.

— Nu!... kto go wi!... — mówił nie bez ukrytego znaczenia rudy Wolko, zagłębiwszy całych pięć palców lewej ręki w gęste kudły czerwonych włosów, które czarna, świecąca się jarmurka okrywała.

— Kto go wi!... powtórzył z jeszcze silniejszym naciskiem, a pięć palców lewej ręki zsunęło się gwałtownym ruchem z pod jarmurki i objęło długie, starannie utrzymywane pejsy — stary Fedor służył za młodych latów po dworach, panowie go lubieli, nauczyli pisać i czytać, nauczyli

po polskie gadać, nu!... taj wun teraz sobie także niby purec!... niby poliak!...

— Et!.. wybuchnął sarkastycznym śmiechem pan Bazyli — taki on pan, jak ja cham!... ha! ha! ha! kuda kuchti do patyny!... —

— Nu!... co to pan!... odrzekł podnosząc się na patynkach Wolko, i schował obie ręce za pas — dzisiaj kaźdyj pan, co ma... i resztę dokończył często używanym giestem o nader zrozumiałem znaczeniu.

Pan Bazyli westchnął głęboko.

Zdawało się, iż ostatni ten argument całkiem trafił do przekonania jego:

— Prawdę mówisz Wolku!... głupi świat i ludzie!... Gdzie to kiedy człowiek zasłyszał, żeby syn chama bratał się z panami!... Panie nie dopuść!.. i przeżegnał się zacny ekonom pobożnie.

— Ciężkie czasy!... westchnął z spółudziałem arendarz siódmy z kolei kieliszek anyżówki stawiając przed ekonomem.

— Ot taki Semenکو, prosty mud', kołtun, i jemu to zrywać się!... A do pługa chamska duszo, do cepa, a nie do pałasza!... I zacny pan Bazyli w szlachetnem oburzeniu porwał się z ławy:

— Oj Boże, Boże!.. co też to się teraz na świecie nie dzieje!... Abrahamko kiwnął ręką i z westchnieniem szepnął:

— Mnie się teraz widzi, jakby cały świat do góry nogami się przewrócił!...

I po tem nader pięknem porównaniu wykrzywił usta, jakby po jakiej niesmacznej pigułce.

— Chłop sznapsa nie pije, do karczmy coraz to rzadziej zagląda, a jak przyjdzie czas: płac za arendę choćbyś i połowę stracił!... Żle!... ciężkie czasy!... auf meine munes ciężkie!... —

Pan Bazyli wypiwszy dziewięć kieliszków anyżówki nie mówił już wiele, i tylko wzdychał ciężko i coraz to bardziej się rozczulał.

— Hm!.. Hrehory!... mrucał myśląc o jednym jak widać ciągle — jaki mi wielki pan!... bogacz!... hm!... albo ten Semenko!... ładaco, mudrahel!... a teraz to się to jeszcze panoszy!... aby no tylko!... i zakończył ulubionem swoim przysłowiem.

— A słyszę, ciągle mu ino jeszcze ta sierota po Olenie w głowie, co?... — dodał.

— A jakże!... potwierdził Wolko z powagą — woni to się tak kochają, a całują, co strach!... a gadał mi Petro Bodiak, co ich widuje często razem za mogiłkami, jak wraca wieczór z pola!...

— I cóż na to leśny?.. zapytał ciekawie Bazyli.

— Ta nic!... Hrehor wie o wszystkim, taj nic nie gada!... stara tylko pijanica przeszkadza im jeszcze!...

— Antoszczycha!.. domyślił się Osiadacz.

— A jakże!... potwierdził arendarz — baba łązi jak ćma za swoją wnuczką, a jak mi Petro Bodiak mówił, to nieraz i nabije ją dobrze!...

— Hu! hu! hu!... zahuczał rubasznym śmiechem pan Bazyli, któremu już anyżek do głowy zaczynał uderzać...

— Hi! hi! hi!... zawtórzył mu Wolko przeraźliwym śmiechem..

Równocześnie mignęła się w oknie karczmy jakaś szeroka twarz i po chwili znikła..

Bystrzejsze ucho usłyszałoby jakiś przytłumiony przeźliwy śmiech, który się obił o ściany budynku karczemnego... Ale nasz ekonom ani arendarz nie słyszeli tego..

Jak przedtem, zabawiali się dalej gawędką, przyczem pan Bazyli zakrapiał się dalej ulubionym anyżkiem...

W kilka chwil potem drzwi karczemne skrzypnęły, i do izby wsunęła się skulona postać garbatej czarownicy — Antoszczychy...

Stara babka naszej sierotki miała w tej chwili twarz okropnie i nie do poznania skrzywioną. Oczy zapadłe głęboko świeciły złowrogo, usta szeptały coś tajemniczo...

Wypiwszy kilka kieliszków okowity, kupiła paczkę zapalków i ukrywszy je w zanadrzu wywlekła się z izby.

Na dworze było jasno. Księżyc blade oświecał drogę, która prowadziła Antoszczychę na drugi koniec sioła...

O kilkanaście kroków za nią skradał się pan Bazyli. Szedł on za czarownicą z prostej ciekawości. Długi czas zakreślał nogami szerokie koła, aż nareszcie, nie mogąc dotrwać dalej, gdy wypity trunek coraz to mocniej zaczynał mu grać w żyłach, zatoczył się na skrócie ulicy i upadł senny w rów...

Antoszczycha tymczasem powlekła się dalej, i wkrótce znikła nie daleko zagrody Hrehorego...

Była to piękna czerwcową noc, kiedy Nastusia odprowadzała Semenka za Potoki. Na niebie nie było ani jednej chmurki, gwiazdy iskrzyły się jak djamenty, a bladawy księżyc jasno przyświecał w drodze naszym podróżnym...

Byli to parobcy z Potoków i z kilku jeszcze wiosek, którzy wyruszyli za kordon, aby się przyłączyć do zbierającego się tam oddziału. Prowadził ich znajomy nam dziad Fedor. — Zkąd on wiedział o powstańcach, kto mu wskazywał drogi i najskrytsze manowce, prowadzące do borów? o tem nikt nie wiedział. Zagadkowy ten człowiek od dawna się już uwijał i agitował pomiędzy ludem w Potokach i okolicznych siołach, przybierał różne miana, a wiadomości, które przynosił z „za lasu“ — jak mawiał — bywały zawsze nieomyłne. Ludzie go lubieli, bo był wesołym, umiał zawsze coś zaśpiewać, zabawił najsmutniejszego i zawsze jakąś nowinę z „za lasu“ przyniósł. Zresztą kto on był taki zkąd rodem i gdzie mieszkał, o tem nikt nie wiedział.

— Ot stareńkij, nieszczastływyj did!... odpowiadał krótko na zapytania ciekawszych i zamilczał...

A różnie o nim rozpowiadali sobie ludzie. Jedni mówili, że to jakiś nieszczęśliwy pogorzelec, co teraz powstańcom służył za przewodnika w szerokich lasach za kordone, drudzy uważali go za czarownika, inni znowu jeszcze go sobie dziwaczniej tłumaczyli. Najwięcej zaś było takich, co zaprzestawszy dalszych domniemywań i dociekań powiedziało sobie po prostu:

— Ot stareńkij, nieszczastływyj did, taj tyłko!...

Do tej definicyi przyszli w końcu wszyscy mieszkańcy naszego siola, i przyzwyczajwszy się do starego Fedorego, zaprzestali go dalej nagabywać.

Z wybuchem powstania zaczął on coraz to częściej odwiedzać znajome nam okolice, donosił o wszystkim, co się działo „za lasem“, i dziwna rzecz, w nocy, którą wła-

śnie opisaliśmy, przeprowadzał ochotników włościńskich do obozu powstańców, który się zbierał „za lasem“ !...

Podróźni nasi oddalili się już dobry kawał od wsi, i zbliżali się coraz to bardziej ku lasowi, który ciemniał na północy. Koło kopców granicznych na polu stanęła Nastusia, aby się pożegnać z Semenkiem.

Tłumiony płacz nie dawał jej mówić. Semenka także chociaż zaciskał usta, ale czuł, że mu coś w gardle duch zapiera i przed oczyma światło mroczy.

— Bądź zdrowa Nastusiu moja !... szepnął ściskając dziewczynę.

Ona nie mogła słowa wypowiedzieć. Zaszlochała tylko cicho, i nakreśliła w powietrzu krzyżyk nad młodym synem Hrehorego...

Wkrótce gromadka naszych parobczaków była już daleko za kopcami. Semenkowski serce biło gwałtownie, a w oczach mroczyło się coraz bardziej. On teraz nic nie wiedział, nic nie słyszał, i tylko płacz dońki łubej długo brzmiał w jego duszy...

Nastusia spłakana, zmęczona i wzruszona siadła na kopcu. Biedna dziewczyna gdy sobie teraz pomyślała, że już nie ma nikogo, ni jednej duszy życzliwszej na świecie, zadrzała...

Jej teraz tak nudnem, smutnem i okropnem wydało się to długie pasmo życia, które sobie przed oczyma roztoczyła !...

A jednak nic, nic nie mogło go zmienić — chyba szczęśliwy powrót Semenka, albo w przeciwnym razie — śmierć !...

Wśród takich to różnorodnych uczuć miotających

młodem tem sercem, biedna dziewczyna pochyliła splekaną głowę na kolana i usnęła...

We śnie widziała Semenka pomiędzy zbrojnymi tłumami Moskali, z kosą w ręku, a przecudnym jakim ogniem palającym w oczach... Widziała, jak się uwijał pomiędzy szeregami...

Rozbudzona jej wyobraźnia tworzyła sobie we śnie szeregi wojsk, zajadłe walczących z sobą: słyszała zgrzytanie kos i szcęk szabel, tonący w głuchym łoskocie wystrzałów działowych...

...I zdawało się jej, że widzi Semenka upadającego pod cięciami szabel nieprzyjacielskich, oblanego krwią i konającego: było to jednak złudzenie, bo wkrótce cały obraz zakrył się ciemną, gęstą mgłą, z za której wypłynął ku niej na jasnym jakimś obłoku młody Semenka o rozjaśnionem, uśmiechającym się obliczu...

I znowu inny obraz przesunął się przez senną głowę dziewczyny.. Widziała starego Hrehorego, o siwych jak gołąbek włosach, błogosławiącego drżącymi rękoma syna, który ukląkł u stóp jego. Stary Hrehory miał łzy w oczach...

I zdawało się naszej sierotce, że i ona uklękła przy Semenku, a ręka staruszka spoczęła także na jej głowie...

W chwili tej serce biło jej tak błogo, radośnie, żeomal się nie wyparło z młodej piersi!...

Nie długo to jednak trwało...

Wśród błokiego tego zachwycenia zdało się Nastusi, że widzi jakąś gadzinę, pełzającą ku błogosławiącemu staruszkowi... Gadzina ta miała twarz człowieka, uśmiechającą się okropnie i przerażająco...

Lekki krzyk wydobył się mimowolnie z piersi dziewczyny...

Przetarła oczy, spojrziała na około siebie, — niedaleko szumiały sosny, świerszczyk odzywał się z zboża, a księżyc płynął po niebie i zniżał się już coraz to bardziej ku zachodowi...

Po chwili jakiś blask jaskrawy uderzył w oczy Nastusi...

Spojrziała ku siołu.. Tam szeroka luna zawisała nad chatami, wiatr rozrzucał skrami i płomieniem, a gęste kłęby dymu roznosiły się w powietrze...

Palilo się więc gdzieś...

Była noc, więc nasza sierotka nie mogła poznać, w której stronie sioła się pali... Szeroka luna jaskrawo oświecała wioskę, i straszny wiatr zrywał się w powietrzu, gdy jak strzała poleciała ku siołu...

Jeszcze raz buchnął pożar iskrami i słupem dymu w powietrzu, jeszcze raz gwałtowny wiatr zakręcił z jękiem płomieniami i jaskrawą luną oświecił powietrze, i wkrótce potem ogień się zmniejszył...

Gdy Nastusia dobiegła do wrot wioski, pożar ustawał...

To stodoły Hrehorego dopalały się już...

Dziewczyna podwoiła biegu, a gdy już była niedaleko ognia, ludzie ratujący przy pożarze wyciągnęli z pod gruzów zapadłej stodoły — spaloną na węgiel kobietę, z konwulsyjnie zaciśniętymi na piersi rękoma.

Był to trup starej Antoszczychy...

.

IX.

Ważna chwila w życiu naszego bohatera.

Wzdłuż granicy, oddzielającej nasze Żółkiewskie od Wołynia, ciągną się długie lasy. Stare sosny wyrastają tam swemi ramionami po nad karłowatą grabinę, wiotkie brzozy i pochyłe starością dęby. Młode ich pokolenie, nieprzejrzaną gęszczą rozsiane u dołu, ukrywa w niedostępnych norach, zarosłych burzanami i bujnem zielskiem, leśną zwierzynę. Często tam kozioł zadudni kopytami, przedzierając się przez cienne manowce, często dzik wygładnie na pola, i po poczynionych szkodach znika w gęsto podszytej kniei, a nie dziwnego, jeżeli jadącemu przez las przemknie się chyłkiem obok ciebie spieszący do nory lis, albo przeskoczy ci drogę nieszczęście wróżący zając...

Miejscami natrafisz w borach tamtych na nieprzebyte bagna: strzeże się więc, by zielone mchy i wilgotne porosty, pokrywające te głębokie trzęsawiska, nie zwiedły kiedy ciebie. Roślinność tam prześliczna; bujna i świeża, bo podsy-

cana ciągłą wilgocią. Mchy o przecudnej zieloności porastają bagna, na suchych kępkach widać paprocie zadziwiające wielkością liśćcia, a czarujące wonią białe i żółte lilie poją swe misterne kielichy w wodzie...

Miejsca jednak takie rzadsze. Częściej spotkasz się z gruntem piaszczystym, suchym, na którym swobodnie rozkoszują sosny i wysoko strzelają ku niebu..

Wśród takich to lasów, rozciągających się za czarno-żółtymi słupami Żółkiewskiego, a więc już na Wołyniu, było miejsce otwartzsze, zawsze otoczone krzewem i poszyte gęstwina, na którem znajdziemy dziś rozłożony obóz powstańczy, a przy jednym z płonących ognisk dobrze nam znajomego pana Kazimierza.

Czytelnik, który widział naszego bohatera w pierwszej części, nie poznałby go zupełnie teraz, takie korzystne zmiany pozachodziły w całym ustroju moralnym pana Kazimierza.

Co to miłość może!...

Ale dodajmy tu, — że miłość taka obudzić się tylko może w sercu nie zupełnie jeszcze zepsutem — i wtenczas przeradza człowieka zupełnie, otwiera mu nowy świat, wprowadza go w nowe, jaśniejsze życie!...

Tak się stało i z panem Kazimierzem.

Dziś był on już zupełnie innym.

W tej chwili siedział na zwalonej kłodzie brzozy przed ogniskiem, i dumiał o swej bogdance, to o przyszłości, która zakrywała się przed nim mgłami. Potem rozmawiał z towarzyszami, śpiewał razem z innymi wesołe piosnki obozowe, i starał się gwałtem uwolnić od natłoku różnorodnych myśli i uczuć, które cisnęły mu serce.

Zwyczajnie jak zakochanemu!...

W obozie wrzało i kipiało jak w garnku. Rozmowy głuszył śpiew, tu wołano o żywność, tam znowu o wodę, jedni czyścili broń i wypalali stare naboje, drudzy napawali konie i tp.

Nie zachowywano się więc w ciszy, bo wszyscy spodziewali się bliskiego starcia z nieprzyjacielem. Za niewiele chwil, oddział miał wyruszyć z lasu na spotkanie z Moskałami.

Pan Kazimierz śpiewał, rozmawiał i bawił się z kolegami, ale w duszy wcale wesołość nie gościła. Coś go ciągnęło do dumań, różnorodne myśli zasępiały mu co chwila czoło.

Siadł więc na uboczu przy dogorywającej na ognisku kładnie i zamyślił się.

I różne obrazy przesnuły mu się po przed oczy...

Przypomniał sobie chwile dzieciństwa swego, dawno zmarłą matkę, ojca, i pierwszą swoją nauczycielkę, panią Larmand. A znać te reminiscencje z pierwszej młodości nie były mu dziś najmiłszymi, bo gorzko czegoś zachmurzył czoło...

Po kolei przyszła mu na myśl jedna z piękniejszych scen dziecięcego jego wieku... Był to piękny jeden, wiosenny wieczór, kiedy z guwernantką wyszedł spacerem za Potoki... Czas był prześliczny, zboże dojrzewało, w dali gdzieś biła przepiórka, a po powietrzu rozlała się owa cudna balsamiczna woń czerwcowego wieczoru...

Wtenczas za smętarzem na piaskach ujrzał po raz pierwszy Nastusię i Semenka...

Były to pierwsze wrażenia piękniejsze z dziecięcego wieku pana Kazimierza...

Nowe obrazy nasunęły się, a czoło młodego naszego bohatera znowu się schmurzyło...

Przyszły mu na myśl smutne chwile namiętnego szału, który nim później owałdł, a którego ofiarą miała być czar-nowłosa Nastusia!..:

Na wspomnienie tego pan Kazimierz zarumienił się sam przed sobą..

On teraz wstydził się postępów niedawnej przeszłości swojej.. Przed oczyma stawała mu ciągle splakana sierotka Ołeny, za którą on niegdyś latał jak widmo złowrogie, czyhając na niewinność biednego dziewczęcia..

Wspomnienie smutnej sceny pod krzyżem, kiedy pędząc na koniu za uciekającą dziewczyną wysmagał biczem Semenka, stanęło mu dziś przed oczyma, jako straszny wyrzut..

Młody syn państwa Felixów wzdrygnął się..

I długo, długo tak trwał w stanie tego straszego odrętwienia..

Dopiero wspomnienie ostatnich chwil w Nadbużu spędzonych, obraz Jadwisi, i miły, rozkoszny jakiś spokój, wiejący z tamtego otoczenia, zdołał go cokolwiek uspokoić..

Miejsce, gdzie nasz bohater usiadł przy ognisku, było zupełnie od wrzawy obozowej odosobnione, nic mu więc nie przeszkadzało do swobodnego dumania..

Jeszcze jakiś czas przesiedział zatopiony w myślach, potem ukląkł i modlił się gorąco.. A była to pierwsza w życiu jego modlitwa, którą aniołowie unieśli przed tron Przedwiecznego..

Niedługo potem ocuciło go granie trąbek wojennych, i pieśń powstańcza, którą chórem śpiewał cały obóz:

Wkrótce zagrzmia wraże działa,
W oczy sypną gradem kul,
Garstka naszych pójdzie śmiała,
Ginąć wśród ojczystych pól.

Wrogu drzyj, próżny gniew,
Śmierć za śmierć, krew za krew!

Ostatnia zwrotka piosnki, dwa razy odśpiewana, szeroko rozeszła się po lesie...

Tymczasem chór śpiewał dalej :

A więc bracia, póki pora,
Trzeba toast spełnić wraz,
Bo gdy spoczniem znów z wieczora,
Niejednego braknie z nas.

Wrogu drzyj itd.

Chociaż śmierć zagładnie w oczy,
Trza jej widok mężnie znieść, —
Tyle wspomnień duszę tłoczy,
Więc wspomnieniom naszym cześć!...

Wrogu drzyj itd.

Towarzysze do widzenia!
W tyralierkę trzeba biedz,
Niech się spełnią przeznaczenia,
Trza zwyciężyć albo ledz.

Wrogu drzyj itd.

Pan Kazimierz słuchał. Słowa piosenki drzały mu w duszy, serce pod natłokiem różnorodnych uczuć uderzało gwałtownie, a w oczach widać było łzy... Przystano śpiewać: las tysięcznym echem powtórzył ostatnią zwrotkę, która skonała gdzieś w niedosłyszanej dali.

Szeregi powstańcze przygotowywały się do wymarszu naprzeciw nieprzyjaciela. Pan Kazimierz osiodłał konia, opatrzył broń i był już w szeregu między swoimi; a

w kilka chwil potem cały oddział wyruszywszy z lasu zetknął się na błoni z Moskałami...

Długo trwała walka. Ziemia stękała od ryku dział nieprzyjacielskich, w powietrzu zawisły czarne dymy, i jakiś czas nic nie było widać ni słyhać, prócz grubej osłony mgieł, zasłaniających cały ten przerażający obraz, i głuszącego wszystko łoskotu wystrzałów, który o kilka mil powystraszał ptactwo z gniazd i zwierza z nory...

Po długiej równowadze sił obu stron potykających się następowało przesilenie. Moskwa, nagromadziwszy potrójne czy poczwórne siły, zaczynała przeważać szalę zwycięstwa. Powstańcy bili się mężnie, połowa padła trupem, druga nie ustępowała. Walczono o śmierć lub zwycięstwo.

Między najwaleczniejszymi znajdował się i pan Kazimierz. Bił się jak żołnierz doświadczony i obeznany ze swą sztuką, narażając siebie na największe niebezpieczeństwa; kule sycząc padały około niego, zastrzegały w polach płaszcza, jedna raniła go już w lewą rękę, lecz on niezważając na to, nie wypuszczał szabli z prawej i walczył do ostatka... Już Moskwa zaczynała coraz to bardziej brać górę. Bojaźliwsi usuwali się, odważni szli na harmaty z kosami w rękę i pobożną pieśnią na ustach:

Pod twoją obronę!... i t. d.

— Dalej wiara!... wołali przewódzcy.

— Dalej!... hura!... — odkrzyknęli kosyniery, spiesząc na zpotkanie z śmiercią ziejącemi paszczami nieprzyjacielskich armat.

I lecieli dzielne chłopaki na śmierć, co jak kosa podcinała kwiaty te o pierwszym ledwie rozwiciu.

Ryknęły działa, a ten i ów w środku drogi został, zatrząsł się, porwał za piersi:

— Ha!... dostałaś mnie przyjaciółko!. . jęknął i upadł...
Innemu strzał zgruchotał nogi, rozerwał ramiona lub
wydobył jelita z żołądka, toż jęczał nieszczęśliwy okropnie
i wołał:

— Kolego!... dobij mnie!... dobij!... patrz jak się
męczę okropnie!...

A najszcześliwsi byli wtenczas tacy, którym kulka
ugrzeźła w bladym czole... Ci nie męczyli się długo —
bladość tylko grobowa powlokła ich skronie, by je ukołysać
do snu wiecznego...

A wszystkim, rannym czy konającym, omdłym czy
zabitym jedno wypisane było na ich pobladłych obliczach;
jedna myśl zastygła na tych uśmiechem niezmażonego
szczęścia w pół przymkniętych ustach, które bladą ręką
śmierci przywarła; jeden i ten sam uśmiech cichego szczę-
ścia skleił do snu długiego strudzone powieki, które aż
na odgłos trąby sądu Bożego się otworzą...

Wśród największego zamieszania pomiędzy naszymi,
gdy działa nieprzyjacielskie zwały kilka szeregów z od-
działu ochotników, a reszta poczynała się cofać w tył, gdy
tylko jeszcze konnica trzymała się jako tako, choć wszyscy
co szli w ogień, szli z rozpaczą, by po długiej walce i
obronie skonać pod bagnetami czerni żołdackiej. — w takiej
to okropnej chwili spadła naszym, prawdziwie jakby z nieba,
niespodziewana pomoc.

Na południe od bojowego naszego obrazku, z pod
śmiejącego się w dali lasu, wychodził dość liczny oddział po-
wstańczy, z samych prawie włościan złożony, a zdawała zala-
tywało echo spiewanej pieśni ruskiej:

Hej kozacze w imia Boha!

Wże hólasyt w cerkwi dzwin, itd.

— Pomoc!... pomoc!... rozległy się wesole okrzyki po szeregach.

— To nasi!... to bracia włościanie!... widzicie kosy, jak łyszczą się zdala od słońca!...

— To Bóg ich nam zesłał, co czuwa nad sierotami!... wołali inni.

A przesłiczna nota pieśni ruskiej coraz to głośniej odzywała się z pod boru, chórem silnym, harmonijnym i czystym! ..

— Dalej bracia!... wołali powstańcy — nim pomoc nadejdzie, pohulajmy jeszcze trochę!...

Popłoch i trwoga wszczęła się pomiędzy szeregami nieprzyjacielskimi. Jedni umykali, drudzy z przerażenia nie wiedzieli na razie, co czynić, waleczniejsi zostali na przodzie.

Tymczasem oddział włościański złączył się z walczącymi...

— Hura!.. rozległy się radośne okrzyki pomiędzy powstańcami — witajcie!... witajcie bracia!...

— W Bogu nadzieja!... odpowiedzieli chórem przybyli...

I poznał tam brat brata, ojciec syna, przyjaciel przyjaciela, zaczęto się ścisnąć, całować, witać, bo niejednego ojciec opłakał już swego syna, syn ojca, brat brata, jak to zwykle bywa w takich czasach! ..

Ale na witania się i ściskania nie było czasu. Wszyscy poleciwszy się pomocy Bożej pospieszyli ku miejscu, gdzie najgorętszy wrzał ogień, a gdzie już mała tylko garstka naszych przeciw przemocy się opierała. Tam to znajdował się i pan Kazimierz.

On walczył jak lew pomiędzy czernią kozacką, a rębiąc szabłą na wszystkie strony sypał skry, które gasły

na odciętych głowach żołdaków... Ale przemoc stawała się coraz to groźniejszą, siły mu już ustawały, z ręki osłabionej upływem krwi, wypadał pałasz...

W chwili tej nadciągnął z pomocą oddziałek włościański. Pan Kazimierz widział, jak jakiś dzielny młodzian, w chłopskiej opończy czerwoną krajką przepasanej, z kosą w ręku, leciał ku niemu...

Jeszcze kilka chwil, kilka pchnięć kosą nieznanego chłopaka, i pan Kazimierz ujrzał się oswobodzonym i wolnym ze wszystkich stron... Spojrzał przed siebie, i spostrzegłszy dzielnego swego obrońcę w opończy z czerwoną krajką, krzyknął radośnie i rzucił się mu na piersi:

— Semenku!...

— Paniczu!... zawołał Semenka, który w tak świętej chwili zapomniał o wszelkiej zawiści i dawnych zajściach!.. I dwoje łez spłynęło po twarzy pana i chłopka...

I znowu posypały się strzały...

Były to jednak ostatki sił nieprzyjacielskich — po chwili Moskale umknęli, zostawiwszy połowę w zabitych i rannych na polu bitwy...

.

X.

Tajemnice dziewiczego serduszka.

Po odjeździe pana Kazimierza ze dworu w Nadbużu, cicho, smutno i jednostajnie upływały tam dni. Oddziały powyruszały za kordon, powstańcy opuścili wsie i miasteczka okoliczne, i tak więc naraz, po takich głośnych rozruchach, po takim wesołym, ruchliwym życiu, ogłuchło i uciszyło się w znajomej nam okolicy...

Czasami ktoś, przybyły z dalszych stron, przywiózł pomyślną jaką wiadomość o losie naszych oddziałów; jedni mówili, iż złączywszy się z kilku jeszcze innymi biją Moskali, i postępują coraz to dalej w głąb kraju, inni znowu powątpiewali; a wielu mówiło, iż kryją się po lasach, niedostępnych kniejach i bagniskach.

Pan kapitan posmutniał od niejakiego czasu. Jemu żal było dziś za dawnym towarzystwem, w którym tak wesołe niegdyś spędzał chwile; stworzony prawie jakby jedynie tylko do konia i szabli, z młodą wiecznie myślą,

i jednakiem sercem w piersi, rwał się ciągle do młodszych, marzył o wojence, choć mu siwizna przypruszyła czoło, a obowiązki przykuwały do domu.

— Ot!... niech lichy już teraz porwie takie życie!... mawiał często — człowiek do niczego już nie zdalny, lancy ni szabli w rękę nie utrzyma, a lada młodzik zakpi sobie teraz z ciebie!... tfu!... do kroć tysięcy beczek i furgonów!... inaczej to dawniej bywało!...

I poczciwy pan Tadeusz zatopiwszy się w takich rzeczach całkiem w reminiscencjach młodości swojej, bujał rozbudzoną wyobraźnią po błoniach pod Grochowem, Borem, spoglądał na ukochanego swego generała, słyszał jego rozkazy, widział przed sobą zastępy wojsk nieprzyjacielskich, rozbijał je i gruchotał konnicą naszą, zdobywał armaty, a gdy go ocucono, płakał rzewnie i głośno jak dziecko...

Gdy przywieziono z poczty gazety, porywał je żarliwie, zamykał się w swoim pokoju, i czytał, śledząc za pomyslnymi wiadomościami...

Jadwisia czytała, najwięcej czasu dziennie poświęcała nauce dziewczątek wiejskich w szkółce, skubała z matką szarpie, a niejedna łza pocięła tam na jej drobne paluszki...

Tymczasem w duszę jej wciskał się coraz to wyraźniej obraz Kazimierza...

Biedne dziewczątko nie wiedziało zrazu, co to jest, jak sobie tłumaczyć smutek jakiś dziwny i to niczem nieokreślone uczucie tęsknoty, co gnietło jej młode piersi i zasepiało twarzą...

Myślała sobie:

— Czyż bym ja go miała kochać?... Nie -- nie!... On

i tak już pojechał, może nie wróci, a choćby i wrócił, to pokocha inną!...

I serce dziewczyny, choć smutne, siliło się do wesołości, a twarzyczka do uśmiechu... Niedługo to jednak trwało. Jakiś nieznamy żal owaładł nią wtenczas, a do serduszka szeptało jej coś pocichutko:

— On ciebie kocha; pamiętasz, gdy wyjeżdżał, łzy lły się mu w oczach, ręka jego drżała, a gdy twoją ścisnął, blednął i czerwieniał naprzemian... A ty niedobra, niewdzięczna, chcesz zapomnieć o nim, ty go nie kochasz!...

Jadwisia słyszała to tajemnicze szeptanie i czuła, że ono przygłuszało wszystkie inne głosy serca... Opuściła smutnie główkę, zadumała się i szepnęła:

— Ja go kocham!... więc to prawda!...

Przy tych słowach serce jej biło głośniejsze, a na twarzyczkę wystąpił szkarłatny rumieniec.

Zkąd ten rumieniec zawitał na jej obliczu? z tego ona sama nie mogłaby dziś sobie zdać sprawy.

I nieraz fortepian pod jej paluszkami zadzwijał prześlicznymi tonami tęsknego mazurka Chopina, o znanym *textie* Ujejskiego:

Jego dotąd niema,
A duszyczka roi,
Wiecznie przed oczyma
Jak zaklęty stoi...

Serce dziewczyny kochało, więc wszelkie marzenia, tęsknota, i ten dziwny niczem niewytłumaczony żal, wszystko to razem trafnie przez kogoś nazwane „rozkosznymi mękami“ wylewało się w pieśni. A czyjaż muzyka przemawiała wtenczas bardziej do serca, czyje piosnki mogły

być bardziej miłszemi, jeżeli nie kochanego naszego Chopina? Jego mazurki, takie lube, miłuchne, to wesołe to smutne, to wymowne tęsknotą, czasem dziwnie żałośnie, częściej zato kapryśne, — to jakby pokarm dla zakochanych, tyle tam łez i niewinnego śmiechu, tyle tęsknoty i miłutkiego kaprysu!...

Jadwisia grała „Z a k o c h a n ą“. Tęskne, smutne dźwięki mazurka lały się powoli, drzały jakiś czas w rozmarzonym sercu dziewczyny, i ulatywały gdzieś daleko, daleko, razem z tem westchnieniem, co rwało się z jej smutnej piersi...

Z ostatnimi dźwiękami mazurka, drobna rączka Jadwisi utonęła w morzu przechodów. Naraz jakby falą posypała się wiązka prześlicznych modulacji, niby pereł, mieniących się jak pryski wody w słonecznym świetle, po kilku akordach na wpół smutnych — wpół wesołych zabrzmiał nowy mazurek o ładnym texcie Sępa:

Idźże sobie już odemnie,
 Błagasz, prosisz nadaremnie,
 Na mą twarz nie rzucaj żaru,
 Serce moje nie zna czaru...

A w drugiej części obrazek bojowy:

Czy widzisz tych dwóch ułanów,
 Co pędzą tam pośród łąnów,
 Już skryli się poza kłosa,
 Trąbki tylko słychać głosy,
 Tra, tra, tra, tra, tra.

Gdy i ty tak z lancą w ręku
 U twardego siędziesz łęku,
 Na twe piersi mężne, harde
 Jasną przypnę ci kokardę.

Mazurek ten rozweselał zwykle naszą Jadwisę. W takich chwilach biegła do gospodarstwa, zajmowała się wszystkim z podwojoną gorliwością, a w wolniejszych chwilach odczytywała rodzicom dzienniki, a mamie osobno wieczorami powieści.

Codziennie zaś, gdy udawała się na spoczynek, klękała pierwaj przed obrazem Matki Bożej, modliła się o pomyślność dla dłoni bratniej, i spowiadała się przed Najświętszą Rodzicielką z tajemnic dziewiczego serduszka...

XI.

Więzienne mury.

Zostawiliśmy obydwóch naszych bohaterów na polu bitwy. Gdy pan Kazimierz padł w objęcia Semenka, posypały się ostatnie strzały ze strony nieprzyjacielskiej i gęste mgły dymu osłoniły miejsce boju...

Były to już ostatnie wysilenia...

Po chwili nieprzyjaciel umknął, a gdy dym się cokolwiek podniósł, leżał pan Kazimierz u nóg Semenka, a z rany zadanej kulą w prawy bok lała się strumieniem krew...

Semenko klęczał nad nim, a z oczu ciekły mu łzy:

— Biedny mój panicz!... — zawodził — nieszczęśliwy panicz!... Czemuż ta kula nie raniła mnie, byłbym skonał szczęśliwy i nie żałowałbym życia!... Szkoda, szkoda młodego panicza!...

Pocziwy chłopak zapominał w tej chwili o wszystkim. Dawniej nie lubiał on pana Kazimierza; widział,

jak ten uganiał za jego ukochaną dziewczyną, i serce jego wrzało ku niemu nienawiścią. Minęło kilka miesięcy; pan Kazimierz ochłonął z szału, tą razą na szczęście bez skalania niewinności biednej dziewczyny. Ostatnie wypadki wyruszyły go z domu, i to było jego szczęściem. W Nadbużu zakochał się, a serce szlachetnej dziewczyny zrobiło z syna państwa Felixów innego człowieka. Dziś Semenکو spotkał go w szeregach bratnich, wydobył z rąk nieprzyjacielskich; a teraz Bóg tak chciał, by w najpiękniejszej chwili życia jego, kula nieprzyjacielska powaliła go u stóp kochanka Nastusi...

Semenko rozdarł suknie i koszulę na piersi pana Kazimierza, przyłożył ucho do serca i słuchał. On nie dawał po sobie żadnego znaku życia. Twarz powlekła się bladością, oczy przywarte, usta straciły zwykły koloryt i grę życia, i ścisnęły się silnie.

Semenko załamał ręce:

— Nie żyje!... biedny panicz!... tak prędko skonał!..
Dostał pewno w serce!...

I zaczął odchyłać dalej suknie. Cała pierś oblana była krwią, bok prawy najbardziej się krwawił. Po chwili Semenکو obnażył go zupełnie, i spostrzegł na prawym boku ranę, z której strumieniem buchała czarna, gęsta i spiekła krew.

Semenko w jednej chwili złożył kilka szmat razem, zrobił bandaż i obwinał nim ranę. Tym sposobem wybuch krwi został na chwilę zatamowany.

Zdjął z ramienia manierkę, w której było jeszcze trochę wody, i oblał nią czoło i pierś rannego. Pan Kazimierz począł lekko oddychać.

— Żyje!.. żyje!... zawołał uradowany Semenکو przytknąwszy do ust jego twarz swoją. — Paniczu!... paniczu!... powiedzcie mi choć słówko, powiedzcie że żyjecie!... szeptał.

Pan Kazimierz otworzył oczy. Twarz jego była śmiertelnie blada, oczy świeciły gorączkowym ogniem:

Gdzie ja jestem? co się ze mną dzieje? — pytał.

Semenکو uradowany, odpowiadał jak mógł na zapytania rannego, a tymczasem przyrządził z gałęzi nosze, wysłał je miękkimi liśćmi, i ułożył na nich pana Kazimierza.

Niedługo przybyło kilkunastu z oddziału do zbierania rannych i grzebania trupów. Semenکو przywołał jednego, i przy pomocy zaniósł na noszach rannego panicza do poblizkiej chaty w lesie, zkąd najawwszy wygodną furę, wyjechał zaraz znaną drożynką leśną za kordon, na swoją stronę. Pan Kazimierz osłabiony wpływem krwi z rany, zasnął na miękkim pościu, na prędcie z siana przyrządzonem, gdy tymczasem mały wózek Semenکا, dwoma koniętami zaprzęgniony, przemykał się szybko przez manowce ku czarnożółtym słupom galicyjskiej krainy. Pełna twarz księżycy przeciskała się po przez szczeliny drzew, i oświecała drogę naszym podróżnym...

Wkrótce kilka powózek z rannymi, a między nimi i Semenکو, wiozący pana Kazimierza, były już w rękach żandarmów. Nikt nie myślał uchodzić, ani się nikt nie bronił. Żandarmi wsiedli na wozy, i z otwartymi bagnietami odwieźli rannych do poblizkiego miasteczka,...

Minęło parę miesięcy. W Karmelitańskim więzieniu we Lwowie, w jednej z kazienn, przesiadywali razem pan Kazimierz i Semenکو.

Pan Kazimierz przychodził powoli do zdrowia, a wien to był przedewszystkiem starannemu pielęgnowaniu zacnego chłopka. Było to w jesieni. Kaźnie zapełniły się więźniami tak gęsto, że wielu musiano wywozić do fortec, za miasto. Choć więc w niewoli, gościła jednak między więźniami niejaka wesołość, którą utrzymywała młodzież śpiewając sobie dla otuchy w smutniejszych chwilach.

Czasami pozwalano niektórym odwiedzać się wzajemnie, a codziennie zaś po parę godzin więźniowie nasi używali powietrza na przechadzce, wśród murów dawnego klasztoru, gdzie kilka tych chwil wolniejszych spędzano razem, gromadnie. Młodszy śpiewali chórem, starsi wśród gawędki przysłuchiwali się śpiewom, a niejednen zadumał się smutno, i niejednemu łzą zabiegło oko..

Pan Kazimierz i Semenکو należeli do tych, którym rzadko na czoło zawitała wesołość. Pod wrażeniem smutnej katastrofy, długo nie mogli się oswoić z wesołością. Zresztą obaj byli zakochani, a to nie pomalu skłaniało ich do samotnych i długich dumań. Pan Kazimierz myślał o swojej bogdance, Semenکو o swojej; jednego trapiły tylko ciągle szafirowe oczka, co pozachodziwszy jasnemi łzami, tak cudnie się z nim żegnały, drugi także marzył o jasnym włosach i ciemnym spojrzeniu swojej Nastusi..

Tak minęło kilka miesięcy. Było to w pierwsze dnie 1864 roku, więc na ziemi polskiej lała się krew strumieniem, z każdym dniem padało tysiące nieszczęśliwych ofiar, jfortece i lochy kaziennne zapełniły się więźniami, a burza eszcze nie ustawała!...

Pan Kazimierz otrzymał listy z Nadbuża. Poczciwy kapitan pisał z prawdziwym współczuciem, zmartwiony jego terażniejszym stanem nadzwyczaj. Pisał mu o sobie, o Jadwisi, która tęskniła za nim, płakała, i oczekiwała powrotu z więzienia...

Listy te były wielką ulgą dla niego. On teraz był pewny, że go Jadwisia na prawdę kocha, mógł marzyć i roić o cichem szczęściu spokojnie, i tylko mury więzienne oziębiały często rozmarzoną głowę młodzieńca...

Semenko także otrzymał wiadomości z domu. Dowiedział się o śmierci starej Antoszczychy, która pewnego wieczora (a było to właśnie kiedy on wychodził za kordon) podjudzona rozinową ekonomą z arendarzem, którą pod oknem karczmy podsłuchiwała, z rozbudzonej złości ku ojcu Semenka zapaliła stodoły jego, i przywalona upadającym dachem, nie wydobyła się już z pod gruzów podpalonej stodoły...

Od tej chwili opiekunem biednej Nastusi został poczciwy Hrehory. Wziął ją do siebie, i uważał już za rodzoną córkę. Chatę na piaskach rozebrał i materyał sprzedał, mówiąc, iż jak Semenka z więzienia wróci, wybuduje nową chatę dla kochanej swojej Nastusi...



XII.

Z a k o ń c z e n i e.

Tak stały rzeczy do jakiegoś czasu.

Niedawno temu przejeżdżając przez Potoki, wypadło mi tam popasać. Zajechałem więc do karczmy, i po rozgoszczeniu się zacząłem z arendarzem gawędkę. Od niego dowiedziałem się o ostatnich zaszłych tamże zmianach.

Pan Kazimierz i Semenکو po całorocznem odsiedzeniu więzienia zostali wypuszczeni na wolność. Pan Kazimierz wyjechał zaraz do Nadbuża, i zastał tam prawdziwie kochające go serca. Państwo Strumieniowie przyjęli go z otwartymi rękami, poczciwy kapitan spłakał się jak bóbr, a Jadwisia dawno już nie spiekła takiego raczka, jak wtenczas.

Semenکو pojechał do rodzinnego swego siola. Po całorocznem niewidzeniu się, wśród twarzy, które serce poczciwego chłopka najbardziej ukochało, rychło zapomniał o niewygodach więzienia. Stary Hrehory dawno już nie spłakał



120-

WYŻSZA SZKOŁA
PEDAGOGICZNA W KIELCACH
BIBLIOTEKA

105396

Biblioteka UJK Kielce

UJK



0476468